ALFRED HITCHCOCK

TAJEMNICA PURPUROWEGO PIRATA

PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW

(Przełożył: JAN JACKOWICZ)

Słowo od Alfreda Hitchcocka

Witam Was, miłośnicy kryminalnych tajemnic i zagadek. Znów mam przyjemność zachęcić Was do prześledzenia tajemniczej afery, wyjaśnionej przez Trzech Detektywów.

Ale najpierw chciałbym przedstawić Wam młodych superwywiadowców. Jednym z nich jest Pierwszy Detektyw Jupiter Jones, krępy chłopak uwielbiający dobre jedzenie i dobre zagadki. Obdarzony doskonałą pamięcią i wspaniałą zdolnością dedukcyjnego myślenia, nie raz już wydobywał całą trójkę ze ślepych zaułków i niebezpiecznych pułapek. Ramię w ramię z Jupiterem działa wysoki i atletycznie zbudowany Drugi Detektyw, czyli Pete Crenshaw, który czasami reaguje nerwowo na zagrożenia, ale potem śmiało stawia im czoło. Trzecim, ale bynajmniej nie ostatnim członkiem zgranej grupy jest Bob Andrews, zajmujący się dokumentacją i analizami, godny zaufania, spokojny młodzieniec, dzielnie wspierający swych przyjaciół - detektywów.

Tym razem młodzi obrońcy prawa prowadzą dochodzenie, które rozgrywa się na terenie dawnej kryjówki Purpurowego Pirata, a także na pokładzie “Czarnego Sępa”, zbudowanego na wzór pirackiego okrętu. Pewne dziwne wydarzenia każą im przypuszczać, że nad brzegiem zatoki, która niegdyś była rajem kalifornijskich piratów i korsarzy, działa ktoś, kto stara ale ożywić tradycje wyczynów i sprawek dawnych morskich rzezimieszków.

Tajemnicze i ryzykowne przygody bezustannie wystawiają na próbę inteligencję chłopców i zmuszają ich do wydobywania się z tarapatów i zasadzek. Spróbujcie im dorównać i sprawdźcie, czy bylibyście zdolni, prędzej niż oni sami, rozwiązać TAJEMNICĘ PURPUROWEGO PIRATA!

Alfred Hitchcock

Rozdział 1

Korsarze! Piraci! Rozbójnicy!

W pokoju rozległ się ostry dzwonek budzika. Pete Crenshaw otworzył jedno oko i jęknął żałośnie. Zaczynał się dopiero drugi tydzień letnich wakacji, a on już nie mógł odżałować tego, że zgodził się na pracę przy porządkowaniu podwórza najbliższych sąsiadów, którzy wybrali się w podróż. Jednak finanse młodzieżowej agencji detektywistycznej, do której należał, znalazły się w opłakanym stanie po kończącej rok szkolny wyprawie do Disneylandu i paczka zgranych przyjaciół potrzebowała na gwałt świeżych funduszy na wakacyjne przedsięwzięcia. Pozostali dwaj detektywi także zaprzęgli się do roboty: Bob Andrews pomagał w miejscowej bibliotece, a Jupiter Jones bez większego zapału zgodził się przepracować dodatkowe godziny w składzie złomu Jonesów, na terenie którego mieszkał razem z wujem Tytusem i ciotką Matyldą.

Widząc, że postękiwanie nie zdaje się na nic, Pete zwlókł się w końcu z łóżka, machinalnie naciągnął koszulkę i wskoczył w spodnie. Zszedłszy do kuchni stwierdził, że ojciec siedzi już przy śniadaniu.

- Ranny ptaszek z ciebie, Pete - powitał go senior rodu Crenshawów szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

- Muszę odwalić tę idiotyczną robotę u sąsiadów - mruknął zaspanym jeszcze głosem Pete, a potem wyjął z lodówki przygotowany dla niego sok pomarańczowy.

- Zarabiasz na wakacje, co? Niewykluczone, że są łatwiejsze sposoby na podreperowanie kasy. Rzuć na to okiem. Ktoś włożył to wczoraj wieczorem do skrzynki na listy.

Kiedy Pete zajął miejsce przy stole, pan Crenshaw podsunął w jego stronę świstek żółtawego papieru. Pociągnąwszy łyk ze szklanki, Pete podniósł kartkę do oczu. Przypominała reklamową ulotkę, jakich wiele miejscowi przedsiębiorcy dostarczają codziennie do domów i prywatnych mieszkań. Pete czytał ją z coraz większym podekscytowaniem. Jej treść była następująca:

KORSARZE! *PIRACI!*

Miłośnicy przygód! *Historycy!* *Mole książkowe!*

Potomkowie morskich zbójców!

Towarzystwo na Rzecz Oddania Sprawiedliwości Korsarzom, Piratom, Rozbójnikom Morskim i Przydrożnym Zbójcom zapłaci 25 dolarów za godzinę każdemu, kto dostarczy szczegółowych informacji o miejscowych piratach, rozbójnikach, gangsterach i innych barwnych postaciach z przestępczego światka dawnej Kalifornii.

Zgłaszać się na ulicę De La Vina 1995
codziennie od 18 do 22 czerwca
w godzinach od 9°° do 17°°.

RABUSIE! *ZBÓJCY!*

- O rany! - wykrzyknął, przebiegłszy wzrokiem ulotkę. - Tato, możemy zbić na tym majątek! Mam na myśli to, że wiemy o całym mnóstwie dawnych niebieskich ptaszków, jacy działali w tej okolicy. A szczególnie dużo wie o nich Jupiter. Muszę jak najprędzej pokazać tę ulotkę Jupe'owi i Bobowi. Dziś mamy osiemnastego i jest już prawie ósma!

- No, no - powiedział pan Crenshaw - obiecująca sprawa! Ale zanim zostaniesz milionerem, dokończ śniadanie.

- Ależ tato! Muszę podlać trawnik, a potem jeszcze...

- Tak, tak, ale coś mi się zdaje, że wy wszyscy, a szczególnie Jupiter, sprawniej myślicie przy pełnym żołądku. Zjedz coś koniecznie.

Pete westchnął ciężko.

- No, to może trochę owsianki!

Sprzątnąwszy w jednej chwili talerz owsianki, Pete wciągnął nosem smakowity zapach grzanek z bekonem, które postawił przed nim ojciec.

- No, najwyżej jedna - powiedział.

Ojciec uśmiechnął się bez słowa. Pete spałaszował stojącą przed nim porcję, nałożył sobie następną, która znikła równie szybko jak poprzednia, w potem porwał żółtą ulotkę i popędził na dwór. W chwilę potem był już na terenie sąsiedniej posesji. Podlał trawnik i pospiesznie zgrabił leżące tu i ówdzie liście i suche gałązki. Potem wskoczył na rower i pognał pedałując z całej siły. Dokładnie o dziewiątej był już koło długiego, kolorowego parkanu, okalającego składnicę złomu Jonesów. Na przyozdobionym przez jakichś miejscowych artystów płocie wymalowany był tonący w zielonych wodach oceanu okręt, któremu przyglądała się zgrabnie wypacykowana rybka. Pete nacisnął jej oko i szeroka, drewniana sztacheta odchyliła się na bok. Zielona Furtka, jak ochrzcili ją chłopcy, stała otworem.

Pete prześliznął się przez nią i znalazł się w warsztacie Jupitera, urządzonym pod gołym niebem tuż koło zamaskowanej Kwatery Głównej, którą chłopcy zainstalowali w starej mieszkalnej przyczepie. Tu mieściło się operacyjne centrum agencji Trzech Detektywów. Pete pełnił w niej funkcję Drugiego Detektywa. Zostawiwszy swój rower obok dwóch innych, stojących już w warsztacie, Pete wśliznął się na czworakach do wylotu długiej, poobijanej rury, zbyt wąskiej, aby mógł do niej wpełznąć ktoś dorosły. Rura, nosząca miano Tunelu Drugiego, prowadziła pod ogromną hałdą wszelkiego żelastwa, która otaczała przyczepę ze wszystkich stron. Sama przyczepa była tak dobrze ukryta, że nikt już nawet nie pamiętał, że coś takiego znajduje się na złomowisku. Dotarłszy do końca mrocznej czeluści, Pete uniósł klapę zamontowaną w podłodze przyczepy i w chwilę potem znalazł się w jej ciasnym wnętrzu, umeblowanym i wyekwipowanym dla potrzeb prowadzonych przez chłopców dochodzeń.

- Chłopaki! Popatrzcie na to! - wykrzyknął, pomachując żółtą kartką. W tej samej chwili znieruchomiał z wytrzeszczonymi oczami. Koło biurka stał lekko pucołowaty, najbardziej z całej paczki rozgarnięty Pierwszy Detektyw, Jupiter Jones. A nad którąś z szufladek kartoteki pochylał się niski, jasnowłosy specjalista od dokumentacji i analiz, Bob Andrews. Obaj mieli w rękach takie same ulotki!

Na widok kolegi Bob westchnął z miną człowieka ciężko doświadczonego przez los.

- Pięć minut temu wpadłem tu z tą samą wielką nowiną!

- Która już wcześniej do mnie dotarła - powiedział Jupiter. - Zdaje się, chłopaki, że wszystkim nam przyszedł do głowy taki sam pomysł na zrobienie dużej forsy!

Pete wspiął się na rękach i stanął na podłodze, a potem rzucił się na aż nazbyt hojnie wyściełany fotel, uratowany przez chłopców ze złomowiska.

- Przypuszczam, że wszyscy mamy już po dziurki w nosie tej harówki - oświadczył ze stanowczą miną.

- Praca nikomu jeszcze nie przyniosła ujmy - zganił Drugiego Detektywa Jupiter, siadając przy biurku. - Ale muszę przyznać, że nie ma na świecie nic bardziej okrutnego i nieludzkiego od spędzania jednego dnia po drugim na złomowisku. Może to Towarzystwo na Rzecz Oddania Sprawiedliwości Korsarzom, Piratom i Rozbójnikom wybawi nas z tej opresji.

- Może da się z tego wyciągnąć choć parę dolcow ekstra - powiedział Bob.

- Ale o kim im opowiemy? - zapytał Pete.

- No wiesz, jest przecież ten francuski kapitan de Bouchard - powiedział Jupe. - Najsławniejszy pirat w dziejach Kalifornii.

- Jest bandyta El Diablo, o którym dowiedzieliśmy się przy okazji rozwiązywania

zagadki jęczącej jaskini - powiedział Pete.

- No i żołnierze, którzy zamordowali Don Sebastiana Alvaro, żeby zdobyć miecz Cortesa w tajemnicy bezgłowego konia - wtrącił Bob.

- Och, i jeszcze ten następca Boucharda, Purpurowy Pirat William Evans - dodał Jupiter, a potem rzucił okiem na stary, przerobiony przez chłopców zegar szafkowy. - Ale te historyjki znane są nie tylko nam, proponuję więc, żebyśmy się pospieszyli.

Bez chwili zwłoki trzej przyjaciele rzucili się do włazu, a potem popełzli tunelem Drugim w kierunku warsztatu. Kiedy wychynęli na powierzchnię, ich uszu doszło głośne wołanie:

- Jupiter! Gdzie się podziałeś? Jupiteeer!

- Jupe, to ciocia Matylda? - szepnął Bob.

Głos ciotki Jupe'a, niewidocznej za hałdą otaczającego warsztat złomu, przybliżał się coraz bardziej.

- Założę się, że znowu znalazła nam jakąś robotę! - wyrwało się Pete'owi.

Jupiter zbladł.

- Dajemy nogę! Prędko!

Chłopcy złapali rowery, przecisnęli się przez Pierwszą Bramę i popędzili w kierunku śródmieścia Rocky Beach. Kiedy dojeżdżali już do podanego w adresie numeru ulicy De La Vina, Bob uświadomił sobie, że zna to miejsce.

- To taki stary dziedziniec otoczony tynkowanym murem, jeszcze z hiszpańskich czasów. Na drugim końcu jest parę sklepów, w większości pustych.

Jupiter naciskał na pedały, ciężko dysząc.

- Prawdopodobnie dlatego właśnie to towarzystwo wybrało tu lokum dla siebie. Można było tanio wynająć jakieś pomieszczenia, które będą się doskonale nadawać na spokojne rozmowy ze wszystkimi, którzy się zgłoszą.

Chłopcy minęli ostatnią przecznicę przed numerem 1995 i zobaczyli rosnący z minuty na minutę tłumek, cisnący się przed zamkniętą drewnianą bramą w wysokim murze. Podjechali bliżej i Jupiter przyjrzał się zgromadzeniu.

- Tylko paru dorosłych, cała reszta to nastolatki i dzieciaki - zauważył z pewną siebie miną. - Ponieważ mamy dziś dzień roboczy, dorośli przyjdą tu w późniejszych godzinach. To sprzyjająca okoliczność, chłopaki.

Uwiązawszy rowery do żelaznych prętów ogrodzenia sąsiedniej posesji, chłopcy zobaczyli, że otwiera się wysoka drewniana furtka. Ukazał się w niej elegancki, niskiego wzrostu mężczyzna o siwych włosach i ogromnych, gęstych wąsach. Miał na sobie tweedową

marynarkę, bryczesy i wysokie, skórzane buty do konnej jazdy. Szyję miał przewiązaną jedwabnym szalikiem, a w ręku dzierżył jeździecki bat. Wyglądał jak jakiś kawalerzysta z dawnych czasów. Stanął twarzą w stronę tłumu i uniesieniem biczyka nakazał ciszę.

- Nazywam się major Karnes! Pragnę powitać was wszystkich w Towarzystwie na Rzecz Oddania Sprawiedliwości Korsarzom, Piratom, Rozbójnikom i Zbójcom. Odbędziemy rozmowy z każdym z was, ale dziś przybyło was zbyt wielu, toteż będziemy musieli ograniczyć się teraz do tych, którzy mieszkają najdalej! Teraz wysłuchamy tylko osób, które przyjechały spoza granic miasta Rocky Beach. Pozostali mogą wrócić do domu. Proszę przyjść do nas innego dnia.

Z tłumu dały się słyszeć okrzyki niezadowolenia. Co roślejsi chłopcy zaczęli się przepychać i poszturchiwać nawzajem. Cofając się przed nimi, major Karnes pchnął plecami drewnianą furtkę, która się za nim zamknęła! Oparłszy się o nią, próbował coś powiedzieć, ale chłopcy zagłuszyli go swymi krzykami:

- Ej, o co tu chodzi?

- Chce pan powiedzieć, że zrobiliśmy całą tę drogę tutaj na darmo?

- Co za bezczelny facet!

Major Karnes machnął batem w stronę awanturujących się chłopców.

- Nie zbliżać się do mnie, wy... smarkate łobuzy!

Twarze tłoczących się nastolatków wykrzywiły się wściekłością. Jeden z nich wyszarpnął z dłoni mężczyzny krótki biczyk i odrzucił go na bok. Paru innych ruszyło groźnie w jego stronę. Major Karnes pobladł.

- Na pomoc! Hubert, do mnie!

Rozwścieczony tłum naciskał coraz bardziej!

Rozdział 2

Nabici w butelkę!

- Na pomoc! - wrzeszczał major Karnes, widząc zamykający się wokół niego krąg rozwścieczonych twarzy. - Hubert, pośpiesz się! Ratunku!

Pete błyskawicznie odwrócił się do Jupitera.

- Ej, słuchaj, to się zaczyna wymykać spod kontroli. Trzeba coś zrobić, żeby ten major mógł wejść do środka. - Nie czekając na odpowiedź kolegi, wysoki, muskularny Drugi Detektyw wskoczył na dach stojącego tuż obok samochodu i wyciągnął rękę wzdłuż ulicy.

- Policja! - krzyknął. - Jadą gliny!

Stłoczeni przy bramie chłopcy odwrócili głowy w jego stronę. Bob i Jupiter prześliznęli się prędko między nimi i stanęli koło majora.

- Chłopaki!- darł się Pete. - Wiejmy stąd!

Pragnąc dać dobry przykład, Pete zeskoczył z auta i popędził w kierunku wylotu ulicy. Paru nastolatków bez namysłu pognało za nim, inni nie dali się jednak nabrać tak łatwo. Za ich plecami Bob pociągnął ciężkie skrzydło drewnianej bramy. Udało mu się uchylić je tak, że otworzyła się wąska szczelina.

- Tędy, proszę pana - powiedział Jupiter i popchnął majora do środka. W parę sekund potem spomiędzy rozbiegających się na wszystkie strony wyrostków wyłonił się Pete i wśliznął się na dziedziniec tuż za majorem Karnesem, Jupiterem i Bobem. Ciężko dysząc major oparł się n wewnętrzną stronę muru, podczas gdy chłopcy wspólnym wysiłkiem dociągali masywne skrzydło bramy, aby szczelnie ją zamknąć.

- Do diabła, Hubercie! - wrzasnął major. - Co za chuliganeria! Policja powinna ich wszystkich pozamykać!

Dziedziniec wyłożony był pamiętającymi dawne czasy, wielkimi kamiennymi płytami. Ze szpar między nimi wyrastały wiecznie zielone drzewa, głównie korzenniki i dżakarandy. Wokół całego dziedzińca ciągnął się wyroki mur, prawie niewidoczny za jaskrawo ukwieconymi krzewami. Po przeciwległej stronie znajdowało się kilka przylepionych do niego lokali sklepowych. Wszystkie wyglądały tak, jakby były puste. Na wprost nich stała samotnie niewielka ciężarówka.

Major wyjął z kieszeni marynarki czerwoną chusteczkę i otarł nią czoło.

- Dziękuję wam za pomoc, chłopcy, ale prawdę mówiąc wolałbym na własne oczy zobaczyć, jak policja rozprawia się z tą hałastrą!

Pete roześmiał się

- Wcale nie było policji, proszę pana. Musiałem coś wymyślić, żeby ich postraszyć i odciągnąć ich uwagę od pana.

- No i dać nam czas na otwarcie bramy - dodał Bob.

Major otworzył usta ze zdziwienia.

- Ho, ho, wykazaliście niezły refleks. W takim razie porozmawiamy najpierw z wami, bez względu na to, gdzie mieszkacie! Hubert, ty idioto! Wyłaźże wreszcie!

- O rany, dziękujemy panu! - wykrzyknął Pete do spółki z Bobem.

- Nie ma za co. To się wam po prostu należy.

Jupiter zmarszczył brwi.

- Obawiam się, że ci, co się tam tłoczą za bramą, pomyślą, że pan nas faworyzuje.

- Nie zastraszy mnie byle czeredka uczniaków - uciął krótko major. - Hubert, kretynie! Gdzie się podziałeś?

W drzwiach jednego z pustych sklepów ukazał się wreszcie ogromny, potężnie zbudowany osobnik i niezdarnie potruchtał w kierunku filigranowego majora. Przypominający słonia odzianego w szary, zbyt ciasny szoferski uniform kolos miał okrągłą, pucołowatą twarz, która nic nie mówiła o wieku jego właściciela. Na czubku gęstej, rudej czupryny sterczała śmieszna, malutka szoferska czapeczka. W jego oczach czaił się strach.

- Bbbardzo przepraszam, panie majorze.

- Idiota! O mało mnie tam nie zamordowali! Gdzieś się tym razem zadekował?

- Ppposzedłem na zaplecze, żeby przygotować magnetofon. Carl ciągle na mnie wrzeszczał, no i nie usłyszałem...

- Mniejsza o to, coś tam robił! - przerwał mu wściekle major. - Idź teraz na ulicę i powiedz im, że otworzymy bramę za dziesięć minut. Ustaw ich w porządnej kolejce i uprzedź, że nie przyjmę nikogo zamieszkałego w granicach miasta. Nie ma sensu, żeby ci ludzie czekali!

Hubert posłusznie podreptał do bramy. Kiedy ją uchylił, z tłumu ozwały się znowu wycia i krzyki. Zgromadzeni rzucili się do wejścia, jednak na widok olbrzymiego osiłka stanęli jak wryci. Z szerokim uśmiechem major przyglądał się, jak Hubert ustawia ich w równym rzędzie.

- To zdumiewające, jak Hubert samym tylko ukazaniem się likwiduje wszelkie kłopoty.

- Zdaje się, że on poradziłby sobie nawet ze mną - powiedział Bob.

- Z tobą? On by zatrzymał atakujący czołgi - stwierdził Pete.

- Tak, tak, z pewnością - oświadczył z lekceważącym odcieniem w głosie major - o ile nie zaplątałby się we własne nogi! No dobrze, chłopcy, chodźcie za mną.

Chłopcy ruszyli za majorem, który poprowadził ich przez główne, puste pomieszczenie środkowego sklepu do małego pokoiku na zapleczu. Jego okna wychodziły na zarośnięte, tylne podwórze, ograniczone wysokim murem. Były zamknięte, pod jednym z nich mruczało tylko urządzenie klimatyzacyjne. Oprócz biurka, telefonu i kilku składanych krzeseł, w pokoju nie było żadnych sprzętów. Jakiś krępy, czarnowłosy mężczyzna pochłonięty był manipulowaniem przy stojącym na biurku magnetofonie. Miał na sobie zwykłe, robocze ubranie.

- Zanim Carl uruchomi magnetofon, opowiem wam o Towarzystwie dla Oddania Sprawiedliwości Piratom, Korsarzom, Rozbójnikom Morskim i Przydrożnym Zbójcom - powiedział major przysiadając na krawędzi biurka z magnetofonem, a potem zaczął zabawiać się stukaniem w blat swoim biczykiem. - Towarzystwo zostało założone przez mojego, bardzo bogatego, stryjecznego dziadka, w następstwie jego studiów nad prawdziwymi kolejami życia naszego przodka, kapitana Hannibala Karnesa, bardziej znanego pod przydomkiem "Barrakuda", korsarza, który w czasach kolonialnych żeglował między wyspami Morza Karaibskiego.

- O kurczę - mruknął Bob. - Nigdy nie słyszałem o kapitanie Karnesie "Barrakudzie".

- Ja też nie - dodał w zamyśleniu Jupiter. - Jedynym sławnym piratem z tamtego regionu, jaki jest mi znany, był Jean Lafitte.

- No właśnie, widzicie? - wykrzyknął major. - Karnes "Barrakuda" zdobył w czasie wojny kolonialnej taką samą sławę, jak Jean Lafitte w wojnie z 1812 roku. I był tak samo wielkim patriotą, ale historia zapomniała o nim! A przy tym ani Karnes, ani Lafitte nie zajmowali się piractwem. Obaj byli korsarzami, łupiącymi okręty należące do wrogich państw. Karnes napadał na angielskie statki, po czym dostarczał zdobyczny ładunek bardzo potrzebującym takiej pomocy koloniom, zbuntowany przeciwko brytyjskiej koronie. Lafitte był natomiast przemytnikiem grabiącym wyłącznie hiszpańskie okręty i pomagał generałowi Jaeksonowi pobić Anglików w wojnie z 1812 roku. Trudno pojąć, dlaczego pamięta się o jednych ludziach, a zapomina o innych, ale mój stryjeczny dziadek postanowił coś z tym wreszcie zrobić. Dzięki swoim milionom założył towarzystwo, które ma się zajmować publikowaniem artykułów i książek historycznych dowodzących, że wielu całkiem zapomnianych piratów, rozbójników i innych łotrów spod ciemnej gwiazdy było w rzeczywistości niesłusznie potępianymi bohaterami i patriotami, takimi jak Lafitte i Robin Hood!

- Więc pan... - zaczął niepewnie Jupiter.

- Niejedno z tych odkryć wprawiłoby cię w zdumienie, młody człowieku! - oświadczył major. - Przez wiele łat mój stryjeczny dziadek przemierzał cały świat w poszukiwaniu szczegółowych informacji o tego rodzaju dawnych zbójach. A po jego śmierci ja postanowiłem kontynuować to szlachetne przedsięwzięcie. Mam nadzieję, że Kalifornia okaże się prawdziwą kopalnią pamiątek po bohaterskich rozbójnikach. A więc, jeżeli mój przyjaciel Carl jest gotowy... - dodał, spoglądając pytająco w stronę swego towarzysza - ... możemy zaczynać. Który z was pójdzie na pierwszy ogień?

- Ja! - wykrzyknął Pete. - Będzie to historia rozbójnika El Diablo!

Jupiter, który otworzył już usta, aby rozpocząć swoją opowieść, przysiadł na krześle obok Boba i z zasępioną miną zaczął przysłuchiwać się Pete'owi, który popłynął z opowieścią o meksykańskim zbóju, atakującym amerykańskich okupantów po wojnie z Meksykiem. Ledwo jednak Pete zdążył przedstawić sylwetkę El Diabla i przeszedł do jego wyczynów, major przerwał mu.

- Świetnie! Ten El Diablo wydaje się idealnym kandydatem do przedstawienia w którejś z publikacji towarzystwa. Kto następny?

Tym razem Jupiter nie dał się zaskoczyć.

- Mam dwóch kandydatów, panie majorze! Francuskiego korsarza Hipolita de Boucharda i jego kompana Williama Evansa, który zasłynął później jako Purpurowy Pirat! De Bouchard był francuskim kapitanem na argentyńskim żołdzie i działał od roku 1818, kiedy to Argentyna wypowiedziała wojnę Hiszpanii. Mając do dyspozycji trzydziestoośmiodziałową fregatę "Argentina", dwudziestosześciodziałowy okręt "Santa Rosa" i dwustu osiemdziesięciu pięciu ludzi z dziesięciu krajów, wyruszył z zadaniem atakowania hiszpańskich statków i kolonii. Był silniejszy od osadników w Górnej Kalifornii, spalił więc Monterey, pokonał hiszpańskiego gubernatora Pabla Solę i zaczął przymierzać się do ataku na Los Angeles, kiedy...

- Doskonale! Bardzo dobrze! - wykrzyknął major Karnes, po czym zwrócił się do Boba. - A ty, chłopcze, co nam opowiesz?

Zgaszony tak niespodziewanie Jupiter zamrugał z niedowierzaniem. Kiedy Bob zabrał się do opowiadania o żołnierzach generała Fremonta, którzy próbowali wykraść Don Sebastianowi Alvaro miecz Cortesa, wymienił z Pete'em znaczące spojrzenia.

- Wspaniale! Jeszcze jedna doskonała historyjka! - przerwał Bobowi major. - Świetnie się spisaliście, chłopcy. Carl ma to wszystko na taśmie, tak więc kiedy zakończymy przesłuchania, skontaktujemy się z wami.

- Skontaktujecie się z nami? - powtórzył jak echo Pete, pozbawiony nagle swej zwykłej śmiałości.

- A...ale - zająknął się Jupiter - w pana ulotce nie było ani słowa o...

Twarz majora rozjaśniła się promiennym uśmiechem.

- Kiedy zdecydujemy, które z waszych opowieści nadają się do wykorzystania, wezwiemy was znowu, tym razem na pełne nagranie po dwadzieścia pięć dolarów za godzinę! Niezły grosik dla takich chłopców jak wy, no nie? Kiedy będziecie wychodzić, powiedzcie po drodze Hubertowi, żeby przysłał następnego kandydata.

Oszołomieni takim obrotem sprawy chłopcy pomaszerowali ku bramie. Przekazali Hubertowi polecenie Karnesa i powoli przecisnęli się przez oczekujący na swoją kolejkę tłumek, a potem stanęli zamyśleni koło rowerów. Tym, który jako pierwszy wypowiedział głośno myśl dręczącą ich wszystkich był Pete.

- Chłopaki, zostaliśmy nabici w butelkę!

- Ale ta ulotka informowała, że zapłatę otrzyma każdy, kto przedstawi jakąś opowieść! - obruszył się Bob.

- Tak, z pewnością tak było - zgodził się Jupiter.

- Powinniśmy donieść policji o tym oszustwie! - wykrzyknął Bob.

- Założę się, że zostaliśmy potraktowani w ten sposób dlatego, że nie jesteśmy jeszcze dorośli - stwierdził ponuro Pete.

- Masz rację - przytaknął mu Bob. - On na pewno ma zamiar nagrywać wyłącznie dorosłych!

- Jeżeli rzeczywiście ma taki zamiar, to złożymy na niego doniesienie oświadczył Jupiter, zaciskając gniewnie usta. - Ale najpierw przyjrzyjmy się trochę majorowi Karnesowi i jego kompanom. Idziemy!

Rozdział 3
Bob się myli

Pozostawiwszy rowery przymocowane do prętów ogrodzenia, Trzej Detektywi rzucili się pędem w boczny zaułek, aby dostać się na tyły otaczającego dziedziniec muru. Bob i Pete w jednej chwili wdrapali się po chropowatej, otynkowanej ścianie, po czym wyciągnęli ręce, aby pomóc zasapanemu, ale nadrabiającemu miną Jupiterowi. Znajdowali się teraz za stojącymi w równym rzędzie pomieszczeniami sklepowymi. Szybko znaleźli dobrze zamaskowaną kryjówkę między ocieniającym tylne, zarośnięte podwórko starym, wykrzywionym dębem i rozłożystą dżakarandą, skąd widać było wnętrze zajmowanego przez majora pokoiku. Zobaczyli, że major Karnes i Carl przesłuchują już kolejnego chłopca. Zamknięte okna i mruczące wciąż urządzenie klimatyzacyjne uniemożliwiały podsłuchanie toczącej się wewnątrz rozmowy, ale mimo to trzej przyjaciele nie mieli żadnych kłopotów z ustaleniem, co tam się dzieje.

- Widzicie? - syknął Pete.

Trzej Detektywi zobaczyli, że znajdujący się w środku chłopak zrobił nagle zdziwioną minę, zaczął protestować, wreszcie, ponaglany przez majora Karnesa, z ociąganiem skierował się ku drzwiom. Było to dokładne powtórzenie tego, co przed chwilą przydarzyło się im samym.

- A więc to dotyczy nie tylko nas - stwierdził Bob.

Nagle Jupiter aż podskoczył.

- Chłopaki! Przyjrzyjcie się temu Carlowi!

- O co chodzi, szefie? - spytał Pete zerkając ukradkiem w kierunku okna.

- Poczekajcie, aż się skończy następne przesłuchanie - powiedział Jupiter.

Do pokoiku wszedł kolejny chłopak i po krótkim monologu został wyproszony przez Karnesa. Carl natychmiast nacisnął przycisk magnetofonu. Odczekał chwilę, po czym nacisnął inny przycisk, poprawił ustawienie mikrofonu i kiedy następny kandydat zaczął z ożywieniem swoją opowieść, włączył znowu nagrywanie.

- On po prostu cofa taśmę, szefie, a potem nagrywa na nią znowu - powiedział powoli Pete. - Nie rozumiem tylko...

- To jasne - stwierdził Bob. - On ciągle używa tej samej kasety! Przewija taśmę z powrotem i nagrywa w kotko na tej samej stronie!

- Przy okazji automatycznie kasując poprzednie nagranie! - uzupełnił Jupiter.

- Kasując to, co było nagrane? - zapytał Pete, wytrzeszczając ze zdziwienia oczy. - Chcesz powiedzieć, że na taśmie nie ma już śladu po tym, co im opowiedzieliśmy? Wymazali wszystko?

- Nie ma śladu nie tylko po naszych opowieściach, ale i po wszystkich pozostałych!

- W takim razie na jakiej podstawie major Karnes ma zamiar wybrać tych, których wezwie na płatne przesłuchanie? - zdziwił się Pete.

- Na pewno nie na podstawie nagrania - powiedział Bob. - Czyli tego, co im opowiedzieliśmy.

- Po co więc organizuje to wszystko?

- To jest właśnie pytanie! - odparł Jupiter.- Co do mnie, to...

Urwał nagle, jakby czymś zaniepokojony.

- Chłopaki, tam jest jakiś dorosły! Zobaczymy, czy potraktują go inaczej!

Pan Karnes powitał przybyłego takim samym zdawkowym uśmieszkiem, po czym kiwnął, głową Carlowi, aby włączył magnetofon. Mężczyzna nie dojechał jednak ze swym opowiadaniem dalej niż jego młodzi poprzednicy. Major zatrzymał go klepnięciem po ramieniu, a potem grzecznie, ale stanowczo wyprosił za drzwi. Na twarzy mężczyzny odmalowało się zaskoczenie, zupełnie takie samo, jak w przypadku chłopców.

- Żaden z nich nie ma oczywiście pojęcia, że Kames ich nabiera - zauważył Jupiter. - Wszyscy myślą, że zostaną wezwani na płatne nagranie.

- A więc to zwykłe oszustwo - powiedział Bob. - Ale po co to wszystko, Jupe?

Jupiter potrząsnął głową.

- Nie mam zielonego pojęcia. Zupełnie nie rozumiem, po co on zadaje sobie tyle trudu z drukowaniem ulotek, ściąganiem tu wszystkich tych naiwniaków, nagrywaniem ich relacji i kasowaniem taśmy. Nic się tu nie trzyma kupy!

Nienawykły do tego, aby nie móc czegoś zrozumieć. Jupiter zaczął skubać dwoma palcami dolną wargę - nieomylny znak, że jego analityczny umysł zaczyna pracować na pełnych obrotach; Nagle Trzej Detektywi spostrzegli, że w pokoiku na zapleczu pojawiły się dwie nowe osoby. Wszedł tam wysoki i szczupły, brodaty mężczyzna w niebieskim mundurze kapitana marynarki, prowadząc za rękę małego chłopczyka, o parę lat młodszego od nich samych. Twarz majora Karnesa ożywiła się nagle. Uścisnąwszy dłoń kapitana, major wskazał przybyłym krzesła, a potem dał znak Carlowi, aby włączył magnetofon. Kiedy kapitan zaczął mówić do mikrofonu, sam także usiadł. Mały chłopczyk od czasu do czasu wtrącał jakieś stówko. Bob pochylił głowę, aby przyjrzeć się lepiej chłopcu i jego opiekunowi.

- Znam ich! Ten mały to Jeremy Joy, chodzi do naszej szkoły. Zdaje mi się, że przyszedł ze swoim ojcem.

- A kim jest jego stary? Kapitanem jakiegoś okrętu? - zaciekawił się Pete.

- Dowodzi małym stateczkiem, który pływa po Zatoce Piratów - wyjaśnił Bob. - To taka turystyczna atrakcja. Wiesz, robi rejsy po terenie, na którym znajdowała się siedziba Purpurowego Pirata.

- Przypominam sobie - powiedział Pete. - Coś w rodzaju małego Disneylandu. Płynie się statkiem i ogląda piratów w akcji.

Jupiter kiwnął głową.

- Ja też o tym słyszałem, nie byłem tam jednak ani razu. Zdaje mi się, że organizują to dopiero od paru lat. Nie zdobyło to specjalnej popularności.

- Tak, rzeczywiście nie wygląda na to, żeby odnieśli wielki sukces - przyznał Bob. - Ale kapitan Joy uważany jest za prawdziwego znawcę życia Purpurowego Pirata i jego wyczynów. Pamiętam, że zrobił raz wykład na ten temat w naszej klasie.

- Ej, widzicie? - syknął nagle Pete. - Major gdzieś wychodzi!

Pan Karnes podniósł się z krzesła i nie przerywając nagrania, opuścił pokój. W parę chwil później uszu chłopców doszły odgłosy wściekłego wycia, dochodzące z ulicy po drugiej stronie budynku. Kryjąc się za krzakami, Pete przemknął wzdłuż muru na główny dziedziniec, żeby zobaczyć, co tam się dzieje. Po kilku minutach wrócił mocno podniecony.

- Karnes i Hubert odsyłają wszystkich pozostałych do domu! Major zawiesił na głównej bramie ogłoszenie, na którym wypisał wielkimi literami: PRZESŁUCHANIA ZAKOŃCZONE! To jego kolejny kant!

Oczom chłopców ukazał się znowu major Karnes, który wrócił do pokoiku na zapleczu w towarzystwie niezdarnie podążającego za nim Huberta. Karnes dał mu znak, żeby był cicho, po czym usiadł i zaczął znowu przysłuchiwać się opowieści kapitana Joya.

- No tak! - powiedział z przekąsem Pete. - Zdaje się, że kapitana Joya mają zamiar wysłuchać do końca.

- Widzisz, Jupe! - wykrzyknął Bob. - O to właśnie chodzi. Kapitan Joy jest ekspertem od Purpurowego Pirata. A temu towarzystwu zależy wyłącznie na historii Purpurowego Pirata, i dlatego Karnes nie potrzebuje nikogo już przesłuchiwać.

- Nie, to nie to - sprzeciwił się Jupiter. - Pamiętasz, ja też próbowałem mówić o Purpurowym Piracie.

- Może nie dosłyszał tego, co mówiłeś - mruknął Pete.

- Albo zlekceważył twoją historyjkę - dodał Bob - ponieważ wiedział już z góry, że o

Purpurowym Piracie dowie się więcej od kapitana Joya.

- W takim razie dlaczego nie poszedł po prostu do kapitana Joya i nie zaproponował mu zakupienia jego opowieści za odpowiednie honorarium? - dopytywał się Jupiter.

- No wiesz - zaczął z zakłopotaniem Bob - ja tylko...

- Żeby zaoszczędzić forsę, szefie - stwierdził autorytatywnie Pete.

- Mój tata utrzymuje, że niektórzy organizują konkursy po to, żeby zdobyć coś taniej, niż gdyby próbowali to tak zwyczajnie kupić. Wszyscy ludzie lubią wygrywać pieniądze albo zdobywać je w jakiś łatwy sposób. Założę się, że Bob ma rację. Ten major wpadł na pomysł zorganizowania przesłuchań po to tylko, żeby zdobyć opowieść kapitana Joya.

- Być może to rzeczywiście jest odpowiedź - powiedział powoli Jupiter.

W jego głosie czaiło się jednak powątpiewanie. Poszczególne fragmenty tej układanki nie całkiem do siebie pasowały. Postanowił jednak powstrzymać się na razie od dalszych komentarzy i pozwolił chłopcom obejrzeć do końca kapitana Joya i Jeremy'ego, przemawiających z zapałem do mikrofonu rejestrującego ich opowiastki. Około wpół do dwunastej kapitan Joy spojrzał na zegarek i podniósł się z krzesła. Major Karnes wyjął z kieszeni zwitek banknotów i wręczył je kapitanowi, który zdawał się początkowo wzbraniać przed ich przyjęciem, w końcu jednak wziął je z widocznym ociąganiem. Na pożegnanie Karnes energicznie potrząsnął dłonią rosłego kapitana Joya i pogłaskał Jerem'ego po włosach, a potem rozpromieniony odprowadził ich do wyjścia. Trzej Detektywi błyskawicznie przemknęli wzdłuż muru pod osłoną krzaków na główny dziedziniec od frontu.

Zobaczyli przez otwartą bramę, że kapitan Joy i Jeremy podchodzą do zaparkowanego po drugiej stronie ulicy starego, poobijanego pikapa. Na pomalowanej jaskrawoczerwoną farbą skrzyni samochodu widać było wypisany złotymi literami napis: SIEDLISKO PURPUROWEGO PIRATA, pod którym przyciągało wzrok zachęcające hasło: "Choć na jeden dzień zamień się w prawdziwego PIRATA"

Kapitan odwrócił się jeszcze na chwilę w stronę wejścia na dziedziniec, w którym stał Karnes ze swymi kompanami.

- A więc do zobaczenia wieczorem, około dziewiątej! - krzyknął, a potem usiadł za kierownicą i wraz z synkiem odjechał swym krwistoczerwonym autem.

- Dziś wieczorem? - spytał szeptem Pete.

- Karnes chce pewno do końca poznać historię Purpurowego Pirata - próbował domyślić się głośno Bob.

- Ale... - zaczął niepewnie Jupe.

W tym momencie Carl zapuścił motor stojącej na dziedzińcu furgonetki i wyjechał nią

na ulicę. Zamknąwszy po jego odjeździe bramę, major Karnes i Hubert wrócili na zaplecze wynajętego przez siebie sklepu.

Zgięci wpół chłopcy pomknęli z powrotem do kryjówki na tylnym podwórzu. Zobaczyli, że Karnes i Hubert dokładnie oglądają jakiś dokument czy obrazek.

- Wygląda to na wykres czy światłodrukową odbitkę - stwierdził Bob.

Ale zanim jeszcze chłopcy zdążyli przyjrzeć się bliżej zagadkowej kartce, od strony głównego dziedzińca dały się słyszeć odgłosy podjeżdżającego samochodu. W pokoiku na zapleczu pojawił się jakiś nieznajomy, niski i gruby, całkiem łysy facecik, bezustannie zabawiający się wielkimi, czarnymi wąsami. Z ożywieniem podbiegł do majora Karnesa i zaczął pokazywać coś na trzymanym przez niego dokumencie. W chwilę potem major i przybysz wybuchnęli śmiechem. Nawet na okrągłej twarzy Huberta pojawiły się radosne błyski.

Nie mogąc nic usłyszeć przez zamknięte okna, chłopcy z zawiedzionymi minami przyglądali się, jak major Karnes podchodzi do magnetofonu i przewija taśmę.

- Jupe! - odezwał się Pete. - Czy to nie jest kasetka, którą nagrał kapitan Joy ze swym synkiem?

Bob i Jupiter jednocześnie wytrzeszczyli oczy na Drugiego Detektywa. W chwilę potem wrócili do śledzenia poczynań majora, który dalej pochylał się nad magnetofonem.

- Oczywiście, że ta sama! - wykrzyknął Bob. - Pamiętam, jak ten Carl zostawił ją w magnetofonie! A po wyjściu kapitana Joya w pokoju nie było nikogo, aż do powrotu majora i Huberta, którzy do tej pory nie zbliżali się do magnetofonu! - Podniecony Bob zamrugał oczami do kolegów. - Chłopaki! Major kasuje teraz także nagranie kapitana Joya!

- Co oznacza - stwierdził Jupiter - że historia Purpurowego Pirata nie jest im do niczego potrzebna.

- Ale pozwolili przecież mówić kapitanowi przez ponad pół godziny - powiedział Pete.

- I kazali wszystkim pozostałym iść do domu - zawtórował mu Bob.

- W takim razie to, na czym im naprawdę zależy - powiedział Jupiter - musi mieć coś wspólnego z kapitanem Joyem i Jeremym.

- Ale co to takiego? - zapytał niecierpliwie Bob.

- Tego właśnie musimy się dowiedzieć - stwierdził z posępną miną Jupiter. - Ale teraz mój żołądek zaczyna mi przypominać, że zbliża się godzina obiadu. Jedźmy na złomowisko, żeby coś przekąsić. Po południu wrócimy tu i przyjrzymy się bliżej majorowi Karnesowi i jego kumplom, postaramy się też pogadać z kapitanem Joyem.

Wygłosiwszy ten monolog, Jupiter uśmiechnął się do swych przyjaciół.

- Zdaje mi się, że firma Trzech Detektywów ma do rozwiązania nową zagadkę!

Rozdział 4
Siedlisko Purpurowego Pirata

W składzie złomu czekała Trzech Detektywów niespodzianka. Ku ich przerażeniu wuj Tytus uparł się, aby Jupiter towarzyszył mu w mającej trwać aż do następnego dnia wyprawie do San Luis Obispo. Po drodze mieli skupować stare żelastwo. Bob dowiedział się, że z powodu choroby innego pracownika będzie musiał nieoczekiwanie spędzić więcej godzin w bibliotece. A Pete, po codziennej harówce na posesji sąsiadów, otrzymał polecenie, by wreszcie wysprzątał własny garaż. Tak więc zniechęceni chłopcy spotkali się dopiero po upływie całych dwóch dni, tuż po jedenastej rano w swej kwaterze, zamaskowanej w starej mieszkalnej przyczepie. Dopiero teraz mogli podjąć dochodzenie w sprawie dziwnych poczynań majora Karnesa.

- Byłem pod tym pustym sklepem wczoraj wieczorem - poinformował kolegów Jupiter. - Kapitan Joy i Jeremy zjawili się tam znowu i nagrywali swoje opowiastki.

Chłopcy uzgodnili prędko, że Pete i Jupiter pojadą rowerami nad Zatokę Piratów, a Bob wróci do kryjówki na ulicy De La Vina, aby obserwować majora Karnesa i jego ludzi. Bob miał przy tym zabrać ze sobą najnowszy, pomysłowy wynalazek Pierwszego Detektywa.

- Jest to niewidzialne urządzenie śledcze - wyjaśnił lider dzielnej trójki. - Dzięki niemy można tropić przeciwnika nawet wtedy, gdy jest on poza zasięgiem naszego wzroku!

Pete z nieufną miną przyjrzał się małemu przyrządowi. Był to blaszany pojemnik wielkości kieszonkowego radia, wypełniony gęstym płynem. Wystająca z dna rurka zwężała się w cienką końcówkę, przypominającą zakraplacz do oczu. W rurkę wmontowany był mały zaworek, a do jednej ze ścianek pojemnika wynalazca przytwierdził magnes.

- Jak to działa, szefie? - zapytał Bob.

- Zostawia za sobą ślad widoczny tylko dla nas. Dzięki magnesowi można to przymocować do każdego metalowego pojazdu. Płyn z pojemnika pozostaje niewidoczny do chwili, gdy oświetli się go promieniami ultrafioletowymi. W tej końcówce znajduje się specjalny zaworek, który w regularnych odstępach czasu uwalnia pojedyncze krople. Dzięki temu powstaje trop, po którym można posuwać się z łatwością, jeśli tylko ma się latarkę z filtrem umożliwiającym rzucanie promieni nadfioletowych.

- A czy my - zapytał z nadzieją w głosie Bob - mamy taką latarkę?

- Jasne, że tak - odparł z uśmiechem Jupiter, wręczając Bobowi małą latarkę z dziwnie wyglądającą żarówką.

- Ej, chłopaki, co to takiego to ultrafioletowe promieniowanie? - zapytał Pete drapiąc się z zażenowaniem w głowę. - Musiałem chyba opuścić zajęcia na ten temat.

- To jest światło, które ma krótsze fale niż światło widzialne - wyjaśnił Bob. - Czasami nazywa się je czarnym światłem, ponieważ wywołuje iryzację niektórych materiałów w ciemności. Kiedy rzuci się te promienie na specjalną substancję w ciemnym pokoju, to ta substancja zaczyna świecić, chociaż sama wiązka tych promieni pozostaje niewidoczna.

- Teraz już sobie przypomniałem. A ten drugi rodzaj niewidzialnych promieni, to są, zdaje się, promienie podczerwone? Zgadza się? - powiedział Pete. - Słuchaj, Jupe, czy ten twój przyrząd działa także w dziennym świetle?

- Tak, tyle że ślady nie są tak widoczne, co ma prawdopodobnie swoje dobre strony. Jeżeli Bob przymocuje zbiorniczek do samochodu majora, będzie mógł go śledzić na rowerze. Płyn będzie kapał w regularnych odstępach przez mniej więcej dwie godziny.

- No to na co czekamy? - spytał Bob.

Bob rzucił pojemnik do małego plecaka, po czym cała trójka popełzła Tunelem Drugim i wskoczyła na rowery. Bob ruszył w stronę śródmieścia, podczas gdy Pete i Jupiter skierowali się na północ, ku wybrzeżu. Nawet ostra jazda nie odwiodła Jupitera od zastanawiania się nad dziwnym zachowaniem Karnesa.

- Według mnie to nie jest przypadek, że major prosił wtedy wyłącznie ludzi mieszkających poza miastem, żeby opowiedzieli swoje historyjki.

- Myślisz, że była to dodatkowa pułapka na kapitana Joya?

- To wydaje się najbardziej prawdopodobne.

Zatoką Piratów nazwano płytkie wgłębienie oceanicznego wybrzeża, mieszczące się o parę kilometrów na północ od Rocky Beach. W górnej części zatoczki znajdowała się mała osada, złożona z kilku domów i sklepików. Na brzegu wypoczywały wyciągnięte z wody rybackie łodzie, w pobliżu widać też było kołyszące się na wodzie hydroplany. Główne turystyczne atrakcje koncentrowały się w południowej części zatoki. Pedałując wzdłuż jej brzegu, chłopcy natknęli się na prowizoryczną tablicę, oznajmiającą: SIEDLISKO PURPUROWEGO PIRATA! *Podniecająca przygoda dla całej rodziny!*

Owa atrakcja dla złaknionych przygód mieszczuchów położona była tuż za przetwórnią morskich mięczaków, na wysuniętym w głąb zatoki małym półwyspie, zamkniętym od strony lądu rozpadającym się, drewnianym parkanem. Na zewnątrz znajdowały się dwa samochodowe parkingi. Po drugiej stronie drogi chłopcy zobaczyli gęsty

zagajnik, za którym widać było jakieś ogrodzenie.

Było jeszcze wcześnie, toteż na parkingu czekało tylko parę samochodów. Kilka najwyraźniej małżeńskich par popijało wodę sodową przed stojącą koło wejścia budką biletera, podczas gdy ich niesforne pociechy biegały w pobliżu, popychając się i krzycząc. Drewniana tabliczka nad budką informowała, że statek "Black Vulture", czyli "Czarny Sęp" odpływa codziennie o dwunastej w południe, a potem co godzina aż do czwartej po południu. Wewnątrz siedział krępy mężczyzna z ogorzałą twarzą. Jego wiek trudno było określić, ponieważ czoło i policzki, wskutek ciągłego wystawiania na słońce i wiatr, pokrywały zmarszczki, jakie można spotkać tylko u mocno postarzałych osób. Miał na sobie marynarską koszulę w paski i czarną przepaskę na jednym oku. Potrząsając przewiązaną wokół głowy czerwoną chustką, zachwalał emocje czekające na uczestników rejsu.

- Niech mnie diabli porwą, jeżeli każdy z was, szczury lądowe, nie poczuje się prawdziwym piratem po dniu spędzonym w melinie Purpurowego Pirata! Jeśli nie jesteście tchórzami, pożeglujcie przez Zatokę Piratów na groźnym brygu "Czarny Sęp" pod banderą z trupią czaszką! Weźcie udział w morskiej bitwie pomiędzy wyspami! Powąchajcie prochu i przeżyjcie napad piratów! Jeszcze mam parę wolnych miejsc! "Czarny Sęp" odbije za dwadzieścia minut! Korzystajcie z okazji, bo inaczej zostaniecie na lodzie!

Stojący przed budką zaczęli spoglądać po sobie, tak jakby chcieli dowiedzieć się, kto też mógł wykupić prawie wszystkie bilety, a potem ustawili się w nierówną kolejkę. Pete i Jupiter dołączyli do nich. Znalazłszy się przed okienkiem. Jupiter zwrócił się do krzepkiego biletera cichym, ale stanowczym głosem:

- Szanowny panie, musimy natychmiast porozmawiać z kapitanem Joyem. Sprawa pitna.

Bileter popatrzył na Jupitera swym jedynym nadającym się do użytku okiem.

- W czasie pokazu kapitan nie rozmawia z nikim!

- Ale przecież - zaprotestował Jupiter - rejs jeszcze się nie...

- Kapitan jest na pokładzie! Anna, chodź tu!

Wykrzyknąwszy to, zawadiacki żeglarz zniknął w głębi budki, a jego miejsce zajęła żwawym susem kilkunastoletnia dziewczyna. Miała śniadą twarz i zaplecione w warkocz czarne, proste włosy.

- Słucham? Ile biletów? - zwróciła się do chłopców z wyraźnym, hiszpańskim akcentem.

- Musimy natychmiast zobaczyć się z kapitanem Joyem - powiedział Jupiter.

- Nie rozumiem. Dwa bilety, tak? - spytała niepewnie dziewczyna.

- Jupe, nie dojdziesz z nią do ładu - odezwał się Pete. - Co robimy?

- Proponuję kupić bilety i przejechać się tym statkiem. Może uda się nam pogadać z kapitanem Joyem na pokładzie, i cała ta zagadka trochę się rozjaśni.

Z biletami w kieszeniach Jupe i Pete minęli szeroką bramę z żelaznych prętów i siatek i pomaszerowali przestronną alejką, ciągnącą się między dwoma niskimi i długimi, drewnianymi budynkami. Alejka prowadziła do przystani, gdzie przycumowany był ze spuszczonym trapem, gotowy do przyjęcia pasażerów "Czarny Sęp". Statek okazał się pełnowymiarową kopią dwumasztowego brygu z rejowym ożaglowaniem. Na wznoszącym się wysoko nad pomalowanym na czarno kadłubem grotmaszcie powiewała piracka flaga z trupią czaszką i skrzyżowanymi piszczelami. Oba niskie budynki musiały być w przeszłości stajniami albo wozowniami. Ten po lewej stronie podzielony był na trzy segmenty. W jednym z nich sprzedawano napoje chłodzące, w, środkowym pamiątki, w ostatnim można było wypić kawę i zjeść hot-doga. Pozbawiony frontowej ściany budynek po prawej stronie pełnił rolę muzeum, wystawiającego morskie i pirackie eksponaty. Nad oboma, a także nad bramą, trzepotały na wietrze czarne pirackie flagi.

W głębi po prawej stronie, za budynkiem muzealnym, zieleniły się rosnące w kilku rzędach dęby. Spoza nich otwierał się widok na hangary i przystań wioślarską, nad którą górowała kamienna baszta. Niedaleko od brzegu rozpoczynał się łańcuch wysepek, zbyt małych, aby mogły być zamieszkane. Nad ostatnią z nich chłopcy zobaczyli wzbijający się właśnie w niebo mały hydroplan, należący do położonej po drugiej stronie zatoki bazy lotniczego serwisu turystycznego.

- Jak na piracką melinę, nie wygląda to specjalnie imponująco - zauważył Jupiter.

- Bob mówił, że przedsiębiorstwo kapitana Joya nie robi tu wielkiej furory - odparł Pete. - Może to też ma jakiś związek z tą akcją Karnesa.

- Całkiem możliwe - zgodził się Jupiter.

Niespiesznie ruszyli spacerową aleją, zerkając po drodze na wystawione w muzeum przedmioty. Znajdowały się tam niezbyt interesujące okazy starych szpad i jakieś zardzewiałe rewolwery, z grubsza modelowane, żółtawe woskowe statuetki słynnych piratów i kapitanów okrętów, sfatygowane stroje i mundury. Wszystko przypominało bardziej dekorację na Święto Zmarłych niż muzealne eksponaty z prawdziwego zdarzenia. Kiedy byli już blisko pomostu z przycumowanym doń "Czarnym Sępem", zauważyli jakąś drobną sylwetkę w wypuszczonej luźno koszuli i workowatych, pirackich hajdawerach.

- Ej, patrz - krzyknął Pete. - To Jeremy Joy!

Chłopak zdawał się nie zauważać Pete'a i Jupitera. Nie oglądając się za siebie, pomknął po trapie na pokład "Czarnego Sępa", przycumowanego burtą do pomostu. Po rufowym pokładzie statku przechadzał się kapitan Joy we własnej osobie. Wysoki i smukły właściciel siedziby Purpurowego Pirata ubrany był w długi, czarny płaszcz i wysokie buty z cholewami. Za szeroki, skórzany pas zatknął sobie długi, zakrzywiony kindżał. Na głowie, podobnie jak i jego synek, nosił trójkątny kapelusz z czerwonym piórkiem, a z lewego rękawa sterczało mu, zamiast dłoni, coś w rodzaju żelaznego haka. Tubalnym głosem pokrzykiwał z góry na wchodzących po trapie turystów.

- Jo-ho-ho, i butelka rumu! Na pokład, kamraci, i lepiej załatwcie się z tym żwawo! Przypływ jest w sam raz, a niedaleko stąd płynie obładowany galeon. Podniesiemy kotwicę i pożeglujemy, żeby przejąć ten tłusty kąsek!

Jupe i Pete posłusznie wdrapali się na pokład wraz z innymi uczestnikami rejsu. Z umieszczonych wysoko w olinowaniu głośników buchnęły nagle żeglarskie śpiewy i ścinające krew w żyłach wrzaski, a pokład ożył wykonanymi z tektury sylwetkami piratów z przepaskami na oczach i nożami trzymanymi w zębach. Na fokmaszcie pojawił się jeden jedyny rejowy żagiel i "Czarny Sęp" zaczął się powoli oddalać od przystani. Nie ulegało wadliwości, że jego siłę napędową stanowi ukryty pod pokładem motor.

- O rany - powiedział Pete. - Te kasetowe nagrania i motor nie pomagają specjalnie w tworzeniu autentycznego nastroju.

Mała grupka stojących na pokładzie turystów pochmurnym raczej wzrokiem spoglądała na obwisły, ledwo trzepoczący w górze żagiel i na tekturowych piratów. Z głośników dało się naglę słyszeć wściekłe wycie wiatru i odgłosy łamiących się fal. Pośród tej mieszaniny dźwięków udających prawdziwą morską burzę, dzikich pirackich wrzasków i odtwarzanych z kasety śpiewów, "Czarny Sęp" wolniutko wypłynął na Zatokę Piratów, pykając schowanym w swych wnętrznościach dieslem.

- Zastanawiam się, po jakie licho ten Karnes i jego banda interesują się takim beznadziejnym przedsięwzięciem jak te rejsy? - zapytał Pete.

- Nie mam pojęcia - odparł Jupe. - Trzymaj oczy szeroko otwarte!

Rozdział 5
Bob dokonuje odkrycia

Znalazłszy się pod bramą otoczonego murem dziedzińca na ulicy De La Vina, Bob stwierdził, że jest ona zamknięta na głucho. Tak jak poprzednio obszedł więc mur dookoła i wdrapał się po nim, aby znaleźć się na tylnym podwórku. Ostrożnie prześliznął się między bujnie rosnącymi tu krzakami i chwastami i wyjrzał w kierunku okna, które obserwował z kolegami dwa dni wcześniej. W pokoiku na zapleczu nieczynnego sklepu nie było nikogo, toteż Bob usadowił się w gęstwinie i zaczął czekać.

Po kwadransie usłyszał odgłosy otwierania ciężkiej, drewnianej bramy. Na dziedziniec wjechał jakiś pojazd. Wkrótce w pokoiku zjawił się major Karnes z papierową torbą w ręku. Wydawało się, że jest sam. Usiadł przy biurku, wyciągnął z torby pojemnik z kawą i napił się jej. Następnie wyjął z kieszeni marynarki złożony na czworo arkusik i rozłożył go na stole.

Pochylił się nad nim z małą linijką w ręku i zaczął coś mierzyć. Wydawał się zadowolony z wyników. Zapisał coś w małym notesie, a potem wstał i zaczął nasłuchiwać. W tym momencie Bob usłyszał odgłos wjeżdżania na dziedziniec drugiego samochodu. Karnes podszedł do drzwi i zniknął w głębi głównego pomieszczenia sklepu. Widząc to Bob przemknął wzdłuż muru w kierunku dużego dziedzińca i zobaczył wjeżdżający przez bramę jeszcze jeden pojazd - tym razem była to duża ciężarówka.

Zza zasłony krzaków rosnących wzdłuż bocznej ściany muru Bob przyjrzał się wszystkim trzem samochodom. Znajdowała się między nimi furgonetka, którą dwa dni temu odjechał Carl. Obok niej stała biała półciężarówka do rozwożenia i sprzedaży lodów. Ogromna ciężarówka miała zamontowany w tylnej części rodzaj platformy czy kosza, który mógł być podnoszony i opuszczany na wysięgniku, oraz wymalowany dużymi literami napis z boku: ALLEN - WYCINANIE I STRZYŻENIE DRZEW l KRZEWÓW. Major Karnes rozmawiał półgłosem z dwoma kierowcami - sprzedawcą lodów w białym kitlu i specjalistą od przesadzania drzew, mającym na sobie robocze ubranie i szeroki skórzany pas, obciążony narzędziami. Obaj nowo przybyli stali plecami do Boba, któremu ich sylwetki wydawały się znajome. Na próżno jednak łamał głowę starając się przypomnieć sobie, gdzie też mógł przedtem widzieć tych ludzi. W chwilę potem obaj wskoczyli do swych samochodów i odjechali, zostawiając bramę otwartą.

Major Karnes zniknął w drzwiach pustego sklepu. Bob wysunął się z krzaków i

skradając się ostrożnie, podbiegł do frontowej ściany sklepu. Przez otwarte drzwi doszedł go podniesiony głos majora:

- Tak, dobrze, dobrze, ty durniu! Daję ci dziesięć minut!

Bob usłyszał stuk odkładanej słuchawki telefonu. Błyskawicznie wydobył z plecaka przekazane mu przez Jupitera urządzenie do śledzenia i popędził w kierunku zaparkowanej na dziedzińcu furgonetki. Wyciągnął rękę pod skrzynię i przyłożył magnes do wewnętrznej strony ramy podwozia, tak aby końcówka kroplomierza skierowana była do dołu. Następnie dał nura w krzaki i znowu zaczął czekać. Tym razem nie trwało to długo,

W drzwiach sklepu ukazała się drobna sylwetka majora, który popędził do samochodu, wskoczył za kierownicę i wyjechał za bramę. Zatrzymał się i wysiadł, aby ją zamknąć. W chwilę potem Bob usłyszał cichnący szum oddalającego się auta. Zaraz pognał na tylne podwórko, przeskoczył mur i pobiegł po rower, przymocowany do telefonicznego słupa. Ostro pedałując, podjechał do bramy i włączył małą latarkę rzucającą ultrafioletowe promienie.

Na jezdni ukazał się rząd wyraźnych, świecących plamek, które kierowały się w prawo! Bob uśmiechnął się szeroko i ruszył w pościg.

Trop mieniących się fioletowo plamek prowadził w kierunku oceanu. a potem skręcał w stronę autostrady. Bob zaczął się niepokoić. Gdyby Karnes wjechał na autostradę, nie można by było jechać za nim na rowerze. Był to słaby punkt wynalazku Jupitera. Ale czy rzeczywiście? Bob miał jeszcze w uszach słowa swego kolegi i zwierzchnika, który wyjaśniał, że gdyby ktoś śledzony przez nich wjechał na autostradę, oznaczałoby to, że udaje się gdzieś daleko, więc tak czy owak niemożliwe było ściganie go na rowerze! Bobowi wydawało się, że naprawdę słyszy głos Jupitera, toteż uśmiechnął się do siebie i w tym momencie zauważył z uczuciem ulgi, że świecące kropki zaczynają oddalać się od autostrady i kierują wprost ku wielkiemu centrum handlowemu.

Powoli jechał wzdłuż rzędów stojących na parkingu samochodów, rozglądając się za furgonetką Karnesa. To, że w biały dzień oświetlał sobie drogę małą latarką, wprawiało go w lekkie zakłopotanie, na szczęście jednak prawie wszyscy przybyli tu po zakupy kierowcy rozeszli się po okolicznych sklepach. Uparcie podążał śladem błyszczących plamek, które w pewnym momencie ginęły za rogiem sklepu z artykułami żelaznymi. Zsiadłszy z roweru, Bob ostrożnie wyjrzał zza rogu. Furgonetkę zaparkowano przed bocznymi drzwiami sklepu. Jej tylne drzwi były szeroko otwarte. Bob zobaczył wychodzącego ze sklepu Karnesa, za którym ciężko toczył się słoniowaty Hubert, dźwigając przed sobą stertę czegoś, co wyglądało na stare worki na ziemniaki.

Hubert włożył worki do samochodu, po czym obaj mężczyźni zawrócili do sklepu. Bob gorąco zapragnął zajrzeć do wnętrza furgonetki, było to jednak zbyt ryzykowne, ponieważ major mógł w każdej chwili pojawić się znowu z Hubertem. I rzeczywiście! Tym razem Hubert człapał za żwawo poruszającym się szefem z naręczem jakichś dziwnych przedmiotów, przypominających swym kształtem wielkie baterie do latarek. Włożył to do środka i zamknął drzwi.

- Właź do środka, głupolu - rzucił ostro Karnes. - Muszę coś zjeść.

Obaj mężczyźni wsiedli do kabiny auta i odjechali. Zawiedziony Bob musiał odczekać, aż furgonetka zniknie, tak aby major nie był w stanie go przyuważyć, po czym znowu ruszył tropem świecących punkcików. Ostro pedałując wjeżdżał właśnie w kolejny zakręt na parkingu, kiedy omal nie wyrżnął w tył ściganej furgonetki! Łapiąc oddech błyskawicznie rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu majora i Huberta. Furgonetkę zaparkowano przed szybkoobsługowym barem i Bob zobaczył obu mężczyzn, składających zamówienie przy kontuarze. Teraz miał wreszcie okazję zrobić to, co chciał, bez większego ryzyka!

Uchylił tylne drzwi i zajrzał do środka. Na podłodze furgonetki leżał stos starych worków na ziemniaki. Obok nich złożona była sterta bateryjek do latarek. W głębi rozrzucono jakieś łopaty i oskardy, oblepione ziemią i błotem - świeżym błotem, wskazującym na to, że całkiem niedawno musiano używać ich do kopania!

Rozdział 6
Piraci w akcji

Na tle pirackich krzyków, mieszających się z płynącym z głośników wyciem wiatru i łoskotem fal, rozlegającym się na pokładzie kołyszącego się leniwie “Czarnego Sępa”, dał się słyszeć donośny głos kapitana Joya:

- Witajcie w kryjówce Purpurowego Pirata, najbardziej podniecającym miejscu na północ od Los Angeles! Przeżyjcie na nowo haniebny żywot tego łotra nad łotrami, który wraz ze swymi, tak samo jak i on nikczemnymi kamratami obrał sobie siedzibę właśnie tu, w Zatoce Piratów. Nasza opowieść zaczyna się w roku 1818, kiedy to dwa pomalowane na czarno okręty rzuciły kotwice u wybrzeży Górnej Kalifornii. Były to: trzydziestoośmiodziałowa fregata “Argentina” pod dowództwem francuskiego korsarza, kapitana Hipolita de Boucharda, i dwudziestosześciodziałowa “Santa Rosa”, dowodzona przez pirata Pedra Conde’a, którego zastępcą i pierwszym oficerem był porucznik, niejaki Witliam Evans.

Oba okręty miały na pokładzie dwustu osiemdziesięciu pięciu ludzi i płynęły pod banderą Argentyny. W roku 1818 Argentyna znalazła się w stanie wojny z Hiszpanią i wynajęła tych wyjętych spod prawa piratów, polecając im napadanie na hiszpańskie osady i statki. W roku 1818 Kalifornia była hiszpańską kolonią, toteż o świcie dwudziestego pierwszego listopada oba okręty otworzyły ogień na miasto Monterey, rządzone przez gubernatora Solę.

ŁUUP!

- Uch! - krzyknął Pete, podskakując jednocześnie na pół metra w górę, kiedy osadzona tuż obok niego armatka grzmotnęła głośno, wyrzucając kłąb dymu. Czarny obłoczek rozpełzł się po całym pokładzie, prowokując uczestników rejsu do kichania.

- Nadbrzeżne baterie natychmiast odpowiedziały potężną kanonadą!

- Hurra!

- Łup!

“Czarny Sęp” zbliżał się właśnie do pierwszej z czterech małych wysepek. Jupiter i Pete wyraźnie już dostrzegali krucho wyglądające kładki, po których można było przejść z jednej wysepki na drugą, a nawet na ląd. Kiedy stateczek mijał pierwszą wyspę, z pokrywających ją niskich zarośli wyskoczyły nagłe w górę cztery wycięte z dykty sylwetki hiszpańskich żołnierzy w historycznych mundurach i zaczęły kołysać się w przód i w tył,

poruszane ukrytym mechanizmem. Zza jakiejś skałki wytoczyła się maleńka, stara armatka na chwiejących się kołach i rąbnęła po raz drugi.

- Łup!

Rozpoczął się gwałtowny pojedynek artyleryjski!

- Łup! - Zamontowane na statku działko znowu buchnęło kłębem dymu. - Łup! - Zatrzęsła się armatka na brzegu, omal się nie wywracając.

- Wkrótce potem sroga wataha de Boucharda wylądowała na brzegu i przypuściła druzgocący szturm, zadając klęskę gubernatorowi Soli i jego oddziałom!

Z bukszprytu wolno sunącego "Czarnego Sępa" zjechało po linach na brzeg wysepki dwóch piratów z nożami w zębach. Dotknąwszy stopami ziemi, piraci dobyli sztylety i miotając marynarskie przekleństwa, rzucili się na figury, które natychmiast utonęły w zielonej gęstwinie. Napastnicy, którymi z całą pewnością musieli być ogorzały bileter i ubrany w piracki strój Jeremy, rozwinęli papierową flagę z trupią czaszką i piszczelami i zaczęli wymachiwać nią triumfalnie.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego kapitan Joy nie odnosi oszałamiających sukcesów - odezwał się Pete.

- Taak, ja też - zawtórował mu Jupiter.

Głośniki zahuczały znowu:

- Piraci spalili w Monterey wszystkie domy z wyjątkiem misji i urzędu celnego, po czym pożeglowali na południe. Niedługo potem zawinęli do Zatoki Ocalenia i zatrzymali się naprzeciwko hacjendy Ortegów. Ortegowie spakowali swój dobytek do kufrów i przez Zbawczą Przełęcz uciekli do bezpiecznej misji świętej Inez.

"Czarny Sęp" znalazł się na wysokości drugiej z małych wysepek. Z zarośli wyłoniły się teraz dwie postaci w kowbojskich kapeluszach i kamizelkach. Starszy pan z kasy zdążył najwyraźniej przebiec z pierwszej wyspy po kładkach razem z Jeremym. Obaj wcielili się w role hiszpańskich szlachciców, dźwigających jeden tylko kuferek przez maleńkie wzniesienie na środku wyspy. Towarzyszyły im płynące z głośników odgłosy galopującej konnicy i wrzaski pirackiej hordy.

- Piraci wyroili się na brzeg i puścili całą hacjendę Ortegów z dymem.

Bileter i Jeremy, ubrani znowu w pirackie stroje, pojawili się teraz trzymając w dłoniach fałszywe żagwie, wykonane z trzonków od mioteł i połyskujące czerwonym światłem żarówek zamontowanych na czubkach. Z rzuconej dymnej świecy wydostał się mizerny obłoczek, na pomalowanych, wyciętych z dykty fasadach budynków udających rancho zamigotały czerwonawe odblaski, rzucane najwyraźniej przez obracającą się latarnię.

Wokół udawanego pożaru dwaj piraci uwijali się w groteskowych susach.

- Pirackie okręty płynęły dalej wzdłuż wybrzeża, paląc i plądrując mijane osiedla, wreszcie zawinęły do zatoki, po której żeglujemy w tej chwili, znanej wówczas pod hiszpańską nazwą Buenavista Ensenada. Tutaj wielcy hiszpańscy właściciele ziemscy postanowili stawić decydującą tamę barbarzyńskim najazdom, bo tylko to mogło uratować Los Angeles i pozostałe miasta aż po San Diego.

Stateczek znajdował się teraz naprzeciwko największej z czterech wysp. Wzdłuż niskiego brzegu zaroiło się całym tłumem figur z dykty, pomalowanych tak, jakby nosiły rozmaite dawne hiszpańskie stroje. Wyblakłe, położone byle jak farby były odrapane, a wiele sylwetek uległo uszkodzeniu. Rząd tak samo sfatygowanych, wyciętych z dykty postaci piratów kołysał się tuż nad wodą, a z głośników zaczęły płynąć odgłosy bitewnej wrzawy. Szczęk białej broni mieszał się z artyleryjską kanonadą, dzikim wrzaskom piratów odpowiadały okrzyki broniących się dzielnie Hiszpanów. Przez dłuższą chwilę grupka stojących na pokładzie turystów przyglądała się markotnie tej osobliwej "bitwie", usiłującej oddać patos historycznego wydarzenia.

- Mimo dzielnej postawy Hiszpanów, władający Górną Kalifornią hidalgowie ulegli i zwycięstwo przypadło piratom. Od tamtej pory aż po dziś dzień ten zakątek zwany jest Zatoką Piratów. De Bouchard wraz z bandą swych rzezimieszków splądrował wszystkie hacjendy, zabierając złoto, srebro i klejnoty, a potem popłynął na południe, aby grabić kolejne miasta, wreszcie porzucił te okolice i nie zjawił się tu nigdy więcej. Ale ci barbarzyńcy pozostawili za sobą nie tylko spalone hacjendy i nazwę zatoki. Pozostał po nich Purpurowy Pirat!

Wypowiedziawszy te słowa, kapitan Joy patetycznym gestem wskazał ostatnią z wysepek. Górowała nad nią stojąca wysoko, na cementowym postumencie, imponująca postać groźnie wymachująca obnażonym kordelasem. Od szerokiego pirackiego kapelusza z wysokim piórem aż po zamszowe buty z cholewami, potężna, zwalista figura przystrojona była w szkarłaty. Z jej ramion opadał długi purpurowy płaszcz, obszyty złotymi galonami, pod którym widać było bufiaste, pirackie hajdawery tego samego koloru. Twarz pirata osłaniała szkarłatna maska, spod której groźnie sterczały czarne wąsiska. Za purpurowy pas zatknięte miał dwa stare pistolety, a za cholewę jeszcze jeden sztylet.

- Porucznik William Evans, drugi po Bogu na statku "Santa Rosa", zbuntował się przeciwko Bouchardowi, zamordował Pedra Conde'a i pożeglował z powrotem do Pirackiej Zatoki. Uczynił z niej bazę swoich pirackich wypadów, zmienił nazwę okrętu, nadając mu imię "Czarny Sęp", i na wiele lat sterroryzował całe wybrzeże. A ponieważ zawsze nosił

purpurowe stroje, od butów aż po piórko od kapelusza, przylgnęło do niego niesławne przezwisko “Purpurowy Pirat”. Grabił i plądrował całą okolicę, podejmował dalekie wypady zarówno na lądzie, jak i na morzu, zawsze wychodząc zwycięsko z potyczek z wysłanymi przeciwko niemu oddziałami. Po wielokroć odpierał ataki, zamknięty w kamiennej baszcie, którą po dziś dzień oglądać można w Zatoce Piratów - widzicie ją tam oto, po prawej stronie - aż wreszcie pewnego dnia w roku 1840 został w niej osaczony bez żadnych nadziei na ocalenie. Ale kiedy wzięto ją szturmem, nie znaleziono w niej Purpurowego Pirata! Zniknął jak kamfora i nikt nie widział go nigdy więcej! Jednak półwysep i wieża do dzisiejszego dnia pozostają w rękach rodziny Evansów.

W czasie gdy kapitan Joy opowiadał dzieje Purpurowego Pirata, jego statek zdążył zawrócić i żeglował już z powrotem wzdłuż łańcucha wysepek. Wzrok chłopców powędrował za ręką kapitana, wyciągniętą w kierunku liczącej cztery kondygnacje, kamiennej wieży. Wydawała się nieciekawa i bez życia. Jeszcze raz zaroiło się od wytartych, wyciętych z dykty sylwetek piratów i żołnierzy, tym razem mających ilustrować wyczyny i potyczki Williama Evansa. Bileter i Jeremy powtórzyli swe biegania po kładkach z wyspy na wyspę, występując w rolach, którym nie mogły sprostać płaskie zużyte makietki, aż w końcu cały ten beznadziejny show zakończył się przybiciem statku do przystani. W tym momencie nad głowami turystów przeleciał z warkotem jeden z hydroplanów z bazy po drugiej stronie zatoki, doszczętnie rujnując wszelkie ślady iluzji, jakie krótki rejs mógł pozostawić w wyobraźni uczestników.

- Panie i panowie, na tym kończy się nasza wyprawa w świat niesławnej pamięci Purpurowego Pirata z Kalifornii. Kiedy zejdziecie na ląd, będziecie mogli pokrzepić się i zakupić okolicznościowe pamiątki po prawej stronie alei spacerowej. Życzę wszystkim miłego odpoczynku. Następny rejs rozpocznie się za piętnaście minut.

W grupie turystów ozwały się urywane śmiechy i pomruki, które ustały jednak szybko i uczestnicy rejsu w milczeniu zeszli po trapie na przystań. Paru z nich zatrzymało się przy stoisku z pamiątkami, aby rzucić okiem na modele statków, miniaturowe sztylety i kordelasy i inne tego rodzaju plastykowe rupiecie, wyprodukowane w Hongkongu. Za ladą uwijała się młoda Meksykanka, którą chłopcy widzieli przedtem w kasie biletowej. Niektóre dzieci ciągnęły rodziców do baru, prosząc o hot-doga czy puszkę coca-coli. Pete i Jupiter zatrzymali się przy trapie, rozglądając się za kapitanem Joyem, jednak ani on, ani Jeremy nie pojawili się w polu ich widzenia.

- Jestem pewien, że oni gdzieś tu mieszkają - powiedział Jupiter.

Znudzeni czekaniem chłopcy, obejrzawszy plastykowe “pamiątki”, postanowili

zobaczyć, co też kryje się za budynkiem mieszczącym skromne muzeum. Oprócz kamiennej wieży i dębów nie było tam jednak nic do oglądania. Ale po drugiej stronie alei, za kawiarnią, barem i sklepikiem z pamiątkami, ujrzeli dużą przyczepę mieszkalną. Bez namysłu podbiegli bliżej. Przyczepiona do drzwi wizytówka głosiła: “Kapitan Matthew Joy”. Jupiter zapukał. Odpowiedziała mu jednak cisza.

- Może kapitan jest jeszcze na statku - powiedział Pete.

- Wątpię w to - stwierdził Jupiter. - Myślę, że jest w środku, tyle że nie usłyszał pukania.

Frontowe okno przyczepy zasłonięte było spuszczoną roletą, ale po drugiej stronie, skierowanej ku zatoce i długiemu pomostowi stojącej tuż obok przetwórni mięczaków, zobaczyli uchylone okno. Jupiter pochylił się ku niemu, aby zajrzeć do środka.

- Jjjupe, uważaj! - zająknął się nagle Pete.

Jupiter odwrócił się od okna. Tuż przed nim stał, wpatrując się w niego, Purpurowy Pirat. Niespodziewanie morski rozbójnik uniósł w górę swój kordelas i ruszył z głośnym okrzykiem.

- Ratunku! - wrzasnął Pete.

Przygwożdżeni do ścianki przyczepy chłopcy skulili się ze strachu. Groźny kordelas zawisnął tuż nad ich głowami!

Rozdział?
Bob ma kłopoty

Skuleni pod ścianą najbardziej jak tylko się dało, chłopcy z zapartym tchem śledzili czubek kołyszącego się tuż nad nimi kordelasa.

- No, mam was wreszcie! - krzyknął wystrojony jaskrawo pirat głosem sprzedawcy biletów. - Tym razem ośmielacie się tu myszkować w biały dzień?

- Szukaliśmy tylko kapitana Joya, proszę pana - wyjąkał Pete.

- Mówiliśmy panu już przy wejściu, że...

- Wtykacie nos do cudzych okien! - warknął zamaskowany bileter.

- Myszkujecie tu także po nocy!

- Także po nocy? - zdziwił się Jupiter. - A teraz w biały dzień? Widział pan tu kogoś myszkującego w nocy?

- Sami wiecie najlepiej, ile razy łaziliście tu po ciemku...

W tym momencie zza rogu przyczepy wyszedł Jeremy Joy. Na widok pochylonego nad skulonymi chłopcami Purpurowego Pirata stanął jak wryty.

- Pete Crenshaw? Jupiter Jones? - zapytał wytrzeszczając oczy.

- Co wy tu robicie?

- Ej, Jeremy! - Pete szybko dostrzegł szansę wyratowania się z opresji. - Przyszliśmy tylko porozmawiać z twoim tatą!

- Znasz tych dwóch? - spytał bileter przebrany za Purpurowego Pirata. W jego głosie wciąż jeszcze czaiła się nieufność.

- Oczywiście, Sam. Chodzą do mojej szkoły. Odłóż ten kordelas!

Bileter z ociąganiem wsunął groźną broń do pochwy i zdjął maskę.

- Przez parę ostatnich nocy włóczyło się tu wielu zatraconych intruzów.

- Sam ma trochę podejrzliwy charakter, chłopaki - powiedział z uśmiechem Jeremy, a potem przedstawił obu chłopców. - Sam, zapoznaj się z moimi kolegami. To jest Pete Crenshaw, a to Jupiter Jones. A Sam “Solniczka” jest pomocnikiem i prawą ręką mojego ojca. Tak naprawdę nazywa się Sam Davis.

- Sam “Solniczka”? - zamyślił się Jupiter. - Czy to oznacza, że ma pan za sobą karierę marynarza?

- Dwadzieścia lat moczyłem się na statkach, jeżeli to chciałeś wiedzieć - stwierdził sucho Sam.

- Domyślam się, że wziął nas pan za jakichś intruzów. To jest nasz pierwszy wypad do Zatoki Piratów - wyjaśnił Jupiter. - Przyjechaliśmy tu, żeby porozmawiać z kapitanem Joyem na temat majora Karnesa.

- Tata poszedł doprowadzić do porządku ekspres do kawy - powiedział Jeremy. -Chodźmy go poszukać.

Kapitan Joy prowadził w kawiarni ostrą dyskusję z jakimś niedużym, rozzłoszczonym turystą.

- Zostaliśmy oszukani - sierdził się uczestnik niedawnego rejsu.

- Ten tak zwany show to jakiś cyrk gałganiarzy! Proszę nam oddać nasze pieniądze!

- Przykro mi, że nasz atrakcyjny pokaz nie przypadł panu do gustu, sir - odparł spokojnym głosem kapitan - ale nie ma pan prawa do zwrotu pieniędzy. Na całym świecie nie znajdzie pan imprezy, która podobałaby się wszystkim.

Turysta rzucił kapitanowi wściekłe spojrzenie.

- To się nie skończy w ten sposób. Pan podstępnie wyłudza od ludzi pieniądze. Zobaczymy, jak na to zareaguje miejscowe biuro kontroli przedsiębiorców!

Powiedziawszy to, turysta dał znak stojącej obok kobiecie z małym chłopczykiem i razem odeszli w stronę parkingu. Kapitan Joy wyjął z kieszeni jasnoczerwoną chusteczkę i otarł nią czoło.

- Nie mam pojęcia, jak długo zdołamy jeszcze pociągnąć, bez pieniędzy na zorganizowanie wszystkiego jak należy - powiedział do Jeremy'ego.

- Może lepiej od razu zlikwidować ten interes, kapitanie - stwierdził Sam "Solniczka". - Uratuje pan przynajmniej to, co panu jeszcze zostało.

Jeremy rzucił Samowi gniewne spojrzenie, a potem odwrócił się do swego ojca.

- Ej, tatusiu, jestem pewien, że rozkręcimy to wszystko.

Kapitan westchnął ciężko.

- Jeżeli major Karnes przez odpowiednio długi czas będzie chciał słuchać naszych opowieści po dwadzieścia pięć dolarów za godzinę, to być może zdołamy poprawić to i owo i przyciągniemy większą liczbę klientów.

- Jestem pewien, tatusiu, że on nas nie zawiedzie! - wykrzyknął z entuzjazmem Jeremy.

- Panie kapitanie - powiedział Jupiter - to jest właśnie sprawa, o której chcielibyśmy z panem pomówić. Tylko po to tu przyszliśmy - dodał, odchrząknąwszy z szacunkiem.

- Mówić ze mną? - powtórzył kapitan, spoglądając srogo na obu chłopców. - Kim właściwie jesteście, moi drodzy?

- To Jupiter Jones i Pete Crenshaw, tatusiu - wyjaśnił Jeremy. - Z mojej szkoły. Chcą porozmawiać z tobą o majorze Karnesie.

- Ale o czym właściwie? - zapytał kapitan Joy.

- O tym, co on ostatnio robi! - wykrzyknął Pete.

- Wydaje się nam, że w jego zachowaniu jest coś podejrzanego - wyjaśnił Jupiter.

- Podejrzanego? - powtórzył jak echo właściciel siedliska Purpurowego Pirata, mierząc obu chłopców groźnym spojrzeniem. - W tym, co robi major Karnes, nie ma nic podejrzanego! To śmieszne! Najpierw ci turyści z pretensjami, a teraz wy! Lepiej będzie, jeżeli przestaniecie wtykać nos w nie swoje sprawy!

Po odkryciu worków i narzędzi do kopania, leżących w furgonetce, Bob odczekał, aż Hubert i major Karnes wyjdą z baru i odjadą. Następnie znowu pojechał za nimi, odnajdując ślad przy pomocy magicznej latarenki. Tym razem trop prowadził prosto do Zatoki Piratów.

Rząd świetlistych plamek omijał parking i bramę wjazdową na teren siedziby Purpurowego Pirata. Parking był prawie pusty, także przed stojącą w pobliżu furgonetką sprzedawcy lodów Bob zauważył tylko dwóch klientów. Chłopiec bez trudu odnalazł błyszczący trop, który po ominięciu furgonetki lodziarza znowu przecinał drogę i kierował się wzdłuż zagajnika, obok którego jakiś mężczyzna, stojący wysoko na uniesionej w górę platformie samochodu z firmy Allena, obcinał przerośnięte gałęzie jednego z drzew. Mężczyzna znajdował się niemal na wysokości szczytu kamiennej baszty, wznoszącej się po drugiej stronie drogi, za drewnianym parkanem okalającym siedlisko Purpurowego Pirata. Bob rozejrzał się uważnie, nigdzie jednak nie było śladu ani po tropionej przez niego furgonetce, ani po majorze i jego słoniowatym pomocniku. Przyglądając się plamkom, Bob odniósł wrażenie, że furgonetka majora musiała przystanąć na chwilę obok samochodu z lodami, potem przy ciężarówce z platformą do przycinania drzew, aby odjechać w końcu drogą prowadzącą na pół...

Zaraz, zaraz. Furgonetka z lodami? Ciężarówka firmy zajmującej się przycinaniem drzew i krzewów? Bob z niedowierzaniem zamrugał oczami. Przecież parę godzin temu obaj kierowcy tych samochodów rozmawiali z majorem! Karnes przyjechał tu z pewnością, aby się z nimi zobaczyć, a potem odjechał znowu.

Bob schował rower za jakimś krzakiem i ostrożnie podkradł się do ciężarówki, aby przyjrzeć się stojącemu na platformie mężczyźnie. Tym razem jego twarz i ciemne włosy widoczne były bardzo wyraźnie, toteż Bob nie miał już wątpliwości, dlaczego jego sylwetka wydała mu się wcześniej znajoma. Był to po prostu Carl, który obsługiwał magnetofon

podczas spotkania Trzech Detektywów z majorem Karnesem na zapleczu pustego sklepu! Obejrzawszy się w kierunku stojącego w pewnym oddaleniu auta z lodami. Bob zdał sobie sprawę, że także sprzedawca lodów należał do świty Karnesa. Był to ten sam niski i gruby, łysy facecik z wąsami, który jako ostatni pojawił się w pokoiku na zapleczu.

A więc ludzie ci zostali tu przysłani w charakterze sekretnej czujki! Bobowi przyszło na myśl, że łysy facet mógł stać tu na czatach tamtego pierwszego dnia, kiedy Carl i Hubert towarzyszyli majorowi przy przesłuchaniach. A Hubert czatował tu być może dziś rano, kiedy Carl i tamten łachman z nożycami rozmawiali w Rocky Beach z Karnesem. Cały ten gang mógł więc obserwować to, co dzieje się na terenie dawnej meliny Purpurowego Pirata przez dwadzieścia cztery godziny na dobę!

Nagle Bob spostrzegł, że stojący na wysięgniku Carl podnosi do oczu lornetkę, kierując ją na jakiś obiekt znajdujący się wewnątrz ogrodzenia. Parkan był jednak zbyt wysoki, aby Bob mógł stwierdzić, co tak interesowało patrzącego. Carl nie przestawał przyglądać się tajemniczemu obiektowi, toteż Bob podjął błyskawiczną decyzję. Postanowił odłożyć na potem śledzenie furgonetki Karnesa. Teraz zależało mu na stwierdzeniu, co też może być przedmiotem ciekawości Carla.

Pod osłoną drzew przemknął z powrotem do miejsca, naprzeciwko którego wchodziło się do byłej siedziby Purpurowego Pirata. Jeszcze raz obejrzał się w kierunku Carla i stwierdził, że jego lornetka nie jest skierowana na wejście dla turystów, lecz na coś położonego w głębi, po prawej stronie. Teraz należało dostać się do środka, nie zwracając niczyjej uwagi! Bob ostrożnie przeszedł przez jezdnię i z obojętną miną przedefilował obok furgonetki z lodami w kierunku wejścia. Nie musiał obawiać się rozpoznania, ponieważ łysy współpracownik majora Karnesa nie widział nigdy żadnego z chłopców. Budka z biletami była zamknięta, ale brama stała otworem Bob minął ją i pomaszerował w prawo wzdłuż parkanu, w kierunku rosnących tam dębów i widocznej za nimi baszty.

Znalazłszy się między drzewami, przystanął, aby przyjrzeć się kamiennej budowli. Licząca cztery kondygnacje wieża, zwieńczona płaskim, tarasowatym dachem, wznosiła się niemal na krawędzi półwyspu, po jego północnej stronie. Od biegnącej wzdłuż zatoki drogi odcinał ją wysoki, drewniany parkan, okalający teren całej pirackiej siedziby, zaś wokół niej znajdował się pas wolnej przestrzeni, tu i ówdzie porośniętej trawą. Za wieżą, tuż nad wodą, widać było stary, zgrzybiały hangar z szynami do wyciągania łodzi na brzeg. Z wyjątkiem samej wieży i hangaru nie było nic więcej, czemu Carl mógł się przyglądać z wysokości swojej platformy. Bob postanowił najpierw obejrzeć z bliska walący się hangar.

Zbite z grubych, nieheblowanych desek ściany były zszarzałe od deszczu i wiatru. Od

strony lądu wiekowa budowla miała tylko jedno okno i podwójne, zamknięte w tej chwili wrota. Tu i ówdzie widać było szczeliny po dawno odpadłych listwach, zaś cała konstrukcja przechylała się na lewą stronę. Bobowi przyszło na myśl, że musi ona pamiętać czasy sławnego pirata, który tu właśnie urządził sobie kryjówkę.

Uniósł się na czubkach palców, aby zajrzeć do okna, zobaczył jednak tylko ledwo widoczne w mroku odblaski stojącej w środku wody. Podszedł do wrót i lekko nacisnął ręką.

Poczuł, że jakiś twardy przedmiot dźgnął go w plecy!

- Odwróć no się, synku, ale powoli i spokojnie - odezwał się jakiś niski głos.

Wykonał polecenie i zobaczył wpatrującego się weń groźnie barczystego mężczyznę średniego wzrostu, w białych spodniach, plecionych sandałach i niebieskiej koszulce z krótkimi rękawami. Mężczyzna trzymał w ręku pistolet, wycelowany prosto w pierś Boba!

Rozdział 8

Kapitan Joy mówi nie!

Widząc, że kapitan Joy nie ma najmniejszej ochoty na podjęcie z nimi współpracy, Jupiter i Pete poczuli, że zaczynają tracić ducha. Chcieli już wyjść z kawiarenki, ale w tym momencie odezwał się Jeremy:

- Wiesz, tato, ja znam tych dwóch. Zdaje mi się, że mógłbyś przynajmniej posłuchać, co mają do powiedzenia.

- Para uprzykrzonych młokosów, nic więcej - wtrącił Sam "Solniczka". - Najlepiej wyrzuć ich za bramę.

- Jak widzicie, mam na głowie cały ten kram - powiedział kapitan - ale ponieważ jesteście kolegami Jerem'yego, daję wam pięć minut. Sam, wracaj do kasy. A wy dwaj chodźcie ze mną.

Rzuciwszy te polecenia, kapitan Joy poprowadził chłopców do swej przyczepy. Jej wnętrze umeblowane było jak zwykły dom, tyle że wszystkie sprzęty były najmniejszych rozmiarów, aby mogły się pomieścić w ciasnej przestrzeni. Kapitan ruchem dłoni poprosił chłopców, aby zajęli miejsca na wąskiej kanapie. Jeremy przysiadł na poręczy fotela.

- No, to śmiało, chłopaki - powiedział kapitan. - Co macie do powiedzenia na temat majora Karnesa?

Jupiter opowiedział o wszystkim, co ich spotkało dwa dni wcześniej podczas nagrań u majora, a także o skasowaniu zaraz potem zarówno opowiadania chłopców, jak i wszystkich innych osób, które wchodziły po nich. Zaznaczył, że choć Karnes dawał do zrozumienia, że zapłaci wszystkim, którzy się zgłoszą, w rzeczywistości nie dał grosza nikomu, z wyjątkiem samego kapitana. Wyjaśnił, że Karnes nie miał najmniejszego zamiaru nagrywać kogokolwiek spośród tych, których odesłał do domu pierwszego dnia, ani żadnej osoby, która zgłosiła się po kapitanie.

- To ty jesteś Jupiter, jak mi się zdaje, tak? - odparł kapitan Joy. - No więc, Jupiterku, co widzisz złego w tym wszystkim? Najwyraźniej Karnes dokładnie wiedział, czego chce, postanowił więc nie tracić zbyt wiele czasu na te pierwsze rozmowy, ani zachowywać nagrań, które do niczego by mu się nie przydały.

- A co pan powie o stwierdzeniu w ulotce, że zapłatę otrzymają wszyscy? - spytał Pete.

- Ależ, Pete, ty po prostu mylnie tłumaczysz sobie treść tej ulotki. Albo może major

niezbyt precyzyjnie ją sformułował.

- W takim razie, proszę pana, dlaczego połowa ludzi została odesłana do domu, nawet bez próby posłuchania tego, co mają do opowiedzenia? - spytał Jupiter.

- Ponieważ pierwszego dnia przyszło zbyt wiele osób, jak sam powiedział. Myślę, że pomysł oddzielenia ludzi spoza miasta od mieszkających na miejscu był sprawiedliwy i całkiem w porządku.

- Ależ, tatusiu - odezwał się Jeremy - on w ogóle nie rozmawiał z nikim z Rocky Beach. To na pewno nie było sprawiedliwe ani nawet uczciwe.

- Hm, no cóż... - zawahał się kapitan Joy.

- A wobec tego - podjął Jupiter - dlaczego rozesłał wszystkim swoje ulotki, jeżeli nie miał zamiaru przesłuchiwać większości osób, które je dostały?

- Myślę, że nie mógł przewidzieć, że Jeremy i ja dostarczymy mu wszelkich informacji, jakich mógł potrzebować. To jest cała odpowiedź!

Kapitan rzucił chłopcom triumfujące spojrzenie, także w oczach Jeremy'ego pojawiło się zakłopotanie. Czyżby cała trójka popełniła jakiś błąd?

- W takim razie - zapytał Jupiter - dlaczego, proszę pana, major skasował także taśmę z pana nagraniem?

- Z moim nagraniem? To znaczy, naszym?

- Widzieliśmy to na własne oczy! - wykrzyknął Pete.

- To niemożliwe! - stwierdził kapitan, wpatrując się w chłopców osłupiałym wzrokiem. - O co wam właściwie chodzi? Przychodzicie tu i próbujecie mnie prze...

- Posłuchaj, tatusiu - przerwał mu Jeremy. - Wiesz, może rzeczywiście coś tu nie gra? Mam na myśli to, że Pete i Jupiter są detektywami i nie jest wykluczone, że mają rację.

- Detektywami? - zapytał sarkastycznym tonem kapitan Joy. - To znaczy bawią się w detektywów? Nie zawracaj mi głowy jakąś dziecinadą!

- Tylko młodszymi detektywami, proszę pana - powiedział ze skromną miną Jupiter - ale wyjaśniliśmy już kilka kryminalnych zagadek.

Wygłosiwszy to, podał kapitanowi wizytówkę i jakieś krótkie pismo czy zaświadczenie, opatrzone pieczątką.

Z chmurnym spojrzeniem kapitan podniósł do oczu biały kartonik, zawierający następujące informacje:

TRZEJ DETEKTYWI
Badamy wszystko
???
Pierwszy Detektyw . . . . . Jupiter Jones
Drugi Detektyw . . . . . Pete Crenshaw
Dokumentacja i analizy . . . . . Bob Andrews

Kapitan mruknął coś pod nosem i zabrał się do czytania pisma, które głosiło:

Zaświadcza się niniejszym, że okaziciel jest Młodszym Ochotnikiem - Wywiadowcą współpracującym z siłami policyjnymi w Rocky Beach. Będziemy wdzięczni za udzielenie mu wszelakiej pomocy.

Samuel Reynolds
Komendant Policji

Kapitan Joy pochylił z uznaniem głowę i rzucił chłopcom trochę cieplejsze spojrzenie.

- Widzę, że szef policji ma o was całkiem wysokie mniemanie - Dowiedział. - Przepraszam was, chłopcy, za to, że wątpiłem w wasze dobre intencje. Teraz widzę, że rzeczywiście chcecie mi pomóc. Właściwie, powinno mi wystarczyć to, że jesteście kolegami Jeremy'ego. Jestem jednak pewien, że musieliście popełnić jakiś błąd w rozumowaniu albo przynajmniej coś tam mylnie ocenić.

- Ale powiedz, tato - odezwał się Jeremy - dlaczego oni skasowali naszą pierwszą taśmę?

- Jeśli tak było, to może z jakiegoś technicznego powodu - odparł kapitan. - Albo może major potraktował nasze pierwsze nagranie jako próbne i chciał, żebyśmy zrobili to trochę inaczej? Nagrywaliśmy również przez ostatnie dwa dni i jestem pewien, że te taśmy nie zostały skasowane!

- Chyba jednak powinien pan osobiście to sprawdzić - powiedział Jupiter.

Kapitan zmarszczył brwi.

- Słuchaj, Jupiterze, powiedz mi wprost, o co, twoim zdaniem, może chodzić majorowi?

- Wydaje się nam bardzo prawdopodobne, że on zorganizował całą tę akcję tylko po to, aby zastawić pułapkę na pana i na Jeremy'ego.

- Ależ my nigdy wcześniej nie widzieliśmy tego Karnesa na oczy! Nigdy nawet nie słyszeliśmy o nim. Zupełnie nie mam pojęcia, czego mógłby od nas chcieć. Pokazy, które

prowadzę, ledwo utrzymują nas przy życiu i nic nie zmieni się na lepsze, dopóki nie zdobędę trochę grosza, żeby podnieść ich poziom.

- A może chodzi tu o coś innego? - zaczął zastanawiać się głośno Pete. - O tereny, które pan zajmuje? Może major zamierza podstępnie je przejąć?

- Nie jestem tu właścicielem, Pete. Wynajmuję ten teren od Evansów.

- Evansów? - powtórzył jak echo Jupiter.

- Tak - przytaknął kapitan. - Ta ziemia nad zatoką ciągle należy do potomków sławnego pirata.

- Bytem pewien, że on gdzieś zniknął - powiedział Pete.

Kapitan uśmiechnął się.

- Zniknął, rzeczywiście, ale później wrócił tu znowu. A nawet wstąpił na drogę uczciwego życia. Tyle że to jego zniknięcie miało najbardziej dramatyczny wydźwięk i na dobre przeszło do legendy.

Jupiter poruszył się niecierpliwie.

- A co z tymi intruzami, którzy łażą tu po nocy?

- Nie mogę tego potwierdzić z całą pewnością. Wprawdzie od czasu do czasu ktoś się tu pojawia, ale niedaleko stąd jest stacja kolejowa i czasami przyłażą jakieś włóczęgi, żeby się przespać w którymś z naszych budynków - wyjaśnił kapitan. - Wiecie co, chłopcy, jestem pewien, że tym razem jesteście w błędzie. Major Karnes i jego przyjaciele nie mają żadnego powodu, aby dobierać się do nas. Nie istnieje nic, czego mogliby od nas żądać.

- Tato - odezwał się Jeremy - może powinniśmy wynająć Trzech Detektywów, żeby się o tym upewnić? Lepiej by było mieć pewność.

- Nie, i to jest moja ostateczna decyzja! - stanowczo oświadczył kapitan Joy, patrząc na swego syna. - Moi drodzy, myślę, że szukacie dziury w całym, a my bardzo potrzebujemy pieniędzy, które otrzymujemy od Karnesa. Wolę nie ryzykować utraty tego dochodu. Chciałbym, żebyście się trzymali z dala od majora. Czy to dla was jasne?

Zanim zdeprymowani chłopcy zdążyli odpowiedzieć, za drzwiami przyczepy dał się słyszeć jakiś gniewny głos.

- Joy! Otwórz drzwi! Ostrzegałem cię przed tymi włóczęgami!

Rozdział 9
Ostrzeżenie

- To Joshua Evans! - powiedział kapitan Joy, a potem uniósł się, aby otworzyć drzwi.

Ukazała się w nich barczysta, krępa postać mężczyzny w białych spodniach i niebieskiej koszulce. Jego twarz płonęła z gniewu.

- Joy, ostrzegałem cię, abyś trzymał swoich ludzi z dala od mojej wieży! Przed chwilą złapałem jednego z nich na próbie włamania się do hangaru ze slipem, a on tłumaczy się, że jest wywiadowcą z jakiejś młodzieżowej formacji detektywistycznej, która na twoje zlecenie rozpracowuje jakiś kretyński problem!

- Bob! - wrzasnęli jednocześnie Jupiter i Pete.

- Co takiego? - nowo przybyły rzucił obu chłopcom wściekłe spojrzenie, a potem wepchnął Boba do wnętrza przyczepy. - Joy, znasz tego ptaszka? A ci dwaj delikwenci to też członkowie jakiegoś gangu małolatów?

- Nie! - powiedział ostro Pete. - Ani my, ani Bob nie jesteśmy żadnymi delikwentami!

Nieznajomy spojrzał groźnie na Pete'a.

- Nikt cię nie pytał o zdanie, dziecinko. Joy, skąd ci dwaj znają tego wścibskiego wróbelka?

- Przykro mi, Evans, że ktoś naruszył twoje pielesze - powiedział kapitan. - Wszyscy ci chłopcy są kolegami Jeremy'ego. Przybyli zobaczyć nasze śmieci...

Jupiter nie dał mu dokończyć.

- Chodzi o historię Purpurowego Pirata, proszę pana. Mamy napisać wypracowanie. Bob prawdopodobnie nas szukał i przez nieuwagę wszedł na teren pańskiej posiadłości. Jestem pewien, że nie miał zamiaru pana niepokoić. A ponieważ usłyszałem, że mieszka pan w tej wieży i nazywa się pan Evans, nie mogę powstrzymać się od zadania panu pytania. Czy jest pan może potomkiem Williama Evansa, czyli Purpurowego Pirata?

Joshua Evans obrzucił Jupitera uważnym spojrzeniem.

- Ej, łebski z ciebie chłopak, jak widzę. Nic mnie nie obchodzą żadne szkolne wypracowania i ostrzegam was, żebyście trzymali się z daleka od moich opłotków. Nie przypadkiem między moją wieżą i cyrkiem kapitana Joya wyrosły te dębczaki. Nie wchodzić mi ani kroku dalej! - powiedział ostro, a potem odwrócił się do kapitana. - Tym razem ujdzie mu na sucho, ale w przyszłości masz uprzedzać twoich klientów i gości, żeby nie zbliżali się do wieży.

- Z pewnością nikt nie będzie cię już niepokoił - powiedział pojednawczo kapitan.

- Lepiej, żeby to się więcej nie zdarzyło - warknął na zakończenie Joshua Evans, a potem zatrzasnął za sobą drzwi przyczepy.

- Dlaczego nie chciałeś, żebym powiedział Evansowi o rzeczywistym powodzie waszej wizyty? - zwrócił się kapitan Joy do Jupitera w chwilę po wyjściu niespodziewanego gościa.

- Wolę nie dyskutować z nikim na temat nie udowodnionych podejrzeń - wyjaśnił Jupiter. - A poza tym, my nic przecież nie wiemy o panu Evansie, a ja przekonałem się już nie raz, że kiedy się nie ma pojęcia, z kim się rozmawia, lepiej trzymać język za zębami.

- Rozumiem - powiedział kapitan z odcieniem podejrzliwości w głosie.

- Wygląda na to, że on jest strasznie nerwowy na punkcie intruzów - stwierdził Jupiter.

- Ma pełne prawo do spokoju na swoim podwórku. Jak by nie było, mój drogi, jest właścicielem całego tego terenu - stwierdził kapitan Joy.

- O rany - zdziwił się Pete. - W jaki sposób taki pirat mógł się stać właścicielem posiadłości i spokojnie przekazać ją swoim potomkom? I to dokładnie tam, gdzie uważano go za zbrodniarza wyjętego spod prawa?

Kapitan Joy uśmiechnął się.

- Wiesz, Pete, William Evans był, zdaje się, sprytnym człowiekiem. Jak już ci wiadomo, nie został schwytany, ale tamtego dnia, w 1840 roku, po prostu zniknął ze swojej wieży. Zostawił jednak żonę i dzieci, a w roku 1848 pojawił się nagle w wojnie z Meksykiem jako żołnierz amerykańskiej armii! Zwycięstwo przypadło nam, Kalifornia stała się częścią Stanów Zjednoczonych i Evans otrzymał z powrotem swoją posiadłość jako nagrodę za zasługi wojenne! Rozumiesz, nikt nie był w stanie udowodnić, że to on był tym Purpurowym Piratem. Nie pobierano wtedy odcisków palców, a ponieważ Purpurowy Pirat nigdy nie dał się złapać, nie istniały też jego portrety ani nie było żadnych informacji o jakichś znakach szczególnych, po których można by było go rozpoznać. W następnych latach jego potomkowie stopniowo wyprzedawali ziemię, aż w końcu została tylko wieża i ten półwysep. Przed śmiercią matki Evansa zdążyłem jeszcze wydzierżawić od niej ten mały kawałek, on sam natomiast wyjechał wiele lat temu i wrócił dopiero niedawno. Ale wieża przez cały czas należała do niego.

- A jak niedawno wrócił? - zapytał Jupiter.

- Mniej więcej rok temu.

- O, to kupa czasu! - powiedział Jupiter z lekkim rozczarowaniem.

Kapitan Joy spojrzał na zegarek.

- Czas na kolejny rejs, chłopcy. Musimy kończyć tę pogawędkę.

- Będę na statku za minutę - powiedział Jeremy, wychodząc razem z Trzema Detektywami. Czterej chłopcy przystanęli na skąpanej w słońcu promenadzie, przyglądając się paru nowym amatorom morskiej przygody, stojącym przy kasie za bramą albo zmierzającym już ku nabrzeżu.

- Jak myślicie, chłopaki, czy major Karnes naprawdę chce nas nabrać z jakiegoś powodu? - zapytał Jeremy.

- Jestem pewien, że tak - odparł Jupiter.

- Ja też, po tym, co dziś odkryłem - powiedział Bob. - Chcecie posłuchać?

Nie czekając na odpowiedź, Bob opowiedział kolegom, jak to Carl i jeszcze jeden z pomocników Karnesa, pod pozorem innych zajęć, obserwowali teren pirackiej kryjówki, a sam Karnes pilnował, żeby ta obserwacja trwała przez dwadzieścia cztery godziny na dobę! Wspomniał też o workach, bateriach i narzędziach do kopania, jakie udało mu się odkryć w furgonetce Karnesa.

- Musimy powiedzieć to wszystko mojemu tacie! - wykrzyknął Jeremy.

Jupiter pokręcił przecząco głową.

- Wiesz, Jeremy, nie wydaje mi się, aby to było sensowne posunięcie. Twój ojciec nie za bardzo nam ufa, więc żeby go przekonać, będziemy musieli znaleźć jakieś bardziej przekonywające dowody. Najwyższy czas, abyśmy zajęli się ustalaniem, na co też może polować ten Karnes i jego banda. Bob, zbadasz dokładnie życiorys Purpurowego Pirata z okresu, w którym przebywał w tej okolicy. Pete, ty postarasz się dowiedzieć jak najwięcej o przeszłości Zatoki Piratów. A ja zajmę się kapitanem Joyem i jego dotychczasową działalnością. Jeremy, czy mogę liczyć na twoją pomoc w rozwiązaniu tej zagadki?

- Jasne - oświadczył bez namysłu Jeremy. - Co mogę dla was zrobić?

- Na początek postaraj się ustalić te fakty z życia twojego ojca, które mogłyby mieć związek z Karnesem i jego ostatnią akcją. Zdaje mi się, że ostatni rejs “Czarnego Sępa" rozpoczyna się o czwartej po południu, tak? O której mógłbyś spotkać się z nami w składzie złomu mojego wujka?

- No, gdzieś około piątej.

- Świetnie. Chłopaki, odpowiada wam ta pora? - zwrócił się Jupiter do Boba i Pete'a.

Obaj detektywi kiwnęli potakująco głowami.

- A więc - podsumował tę krótką naradę Pierwszy Detektyw - proponuję, żebyśmy zabrali się wszyscy do roboty. O pół do szóstej spotkamy się w Kwaterze Głównej, żeby

zdecydować, co robimy dalej!

Rozdział 10

Jupiter znajduje odpowiedź!

Dokładnie o pół do szóstej Jeremy wjechał na swym rowerze w główną bramę składnicy złomu Jonesów. Nigdzie nie było śladu po Trzech Detektywach. Rozejrzał się po zwalonych w wysokie hałdy fragmentach armatury pozostałej po setkach rozebranych domów, po stosach starych maszyn, motorów i innych urządzeń, nie znalazł jednak, oprócz baraczku służącego za biuro, nic, co mogłoby przypominać Kwaterę Główną.

- Ej, chłopczyku! Potrzebujesz czegoś? - zahuczał mocny, donośny głos tuż nad jego głową. Jeremy odwrócił się i zobaczył wpatrzone w niego z góry oczy wysokiej, tęgiej kobiety.

- Ja... ja szukam Jupitera, Boba i ...

- Dobrze trafiłeś, chłopcze. Ja jestem ciocią Jupitera, ale jeżeli uda mi się prędzej niż tobie znaleźć tych gagatków, będziesz musiał poczekać na swoją kolej! Cały dzień gdzieś się włóczą, a jak tylko przyłapię któregoś na podwórku, wystarczy chwila nieuwagi i fiuu, znowu ich nie ma!

- Czy widziała ich tu pani niedawno?

- Niecałe pięć minut temu! Te urwisy musiały zmajstrować chyba jakiś radar, bo wcześniej ode mnie dowiadują się, że mam dla nich robotę! - W gderliwym głosie cioci Jupitera Jeremy wyczuł nutkę rozbawienia i swoistego podziwu. - Nie ma sposobu, żeby przewidzieć, kiedy pokażą się znowu... Może lepiej zrobisz wracając do domu.

- Wolałbym jednak poczekać, jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu.

- Rób, jak chcesz, chłopcze. Tam, przy płocie, znajdziesz warsztat Jupitera, ale nie licz na to, że zaraz wrócą. Doskonale wiedzą, że mam dla nich zajęcie!

Ciocia Jupitera chichocząc wróciła do biura. Wędrując między stertami żelastwa, Jeremy uśmiechnął się do siebie. Był pewien, że ciocia jego nowego kolegi wcale nie jest taka surowa, za jaką chciałaby uchodzić.

Odnalazłszy warsztat, urządzony pod gołym niebem w kąciku przylegającym do parkanu od strony ulicy, tuż obok ogromnej hałdy złomu, rozejrzał się po nim. Także tu nie było śladu po chłopcach. Przysiadł więc na grubej, sfatygowanej rurze, ginącej gdzieś pod hałdą, i zaczął czekać. Nagle usłyszał jakiś szept.

- Jeremy!

Stłumiony szept rozległ się tuż obok niego! Jeremy skoczył na równe nogi i rozejrzał

się na wszystkie strony.

- Nie tam! Tu, w środku!

Szepczący głos zdawał się dochodzić wprost z wnętrza wielkiej hałdy!

- Jupe, to ty? - odszepnął niepewnie Jeremy. - Czy Pete?

- Ciiicho! - odpowiedział mu szept prościutko ze środka sterty. - Ciocia Matylda chce nas zapędzić do jakiejś roboty! Jeżeli nas dopadnie, nici z Karnesa i jego tajemnicy!

Całkowicie zdezorientowany Jeremy nerwowo rozejrzał się znowu, próbując przeniknąć wzrokiem piętrzącą się przed nim hałdę. Nic jednak nie dostrzegł.

Niewidzialny rozmówca zaśmiał się cicho.

- Upewnij się, że nikt cię nie widzi, a potem schyl się i wleź do wielkiej rury.

Jeremy wlepił osłupiałe spojrzenie w pomarszczony otwór rury, ginącej gdzieś pod starym żelastwem. Upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, ukląkł i na czworakach wśliznął się do środka. O jakieś dwa metry od wylotu dostrzegł uśmiechniętą twarz Pete'a, ledwo widoczną w mrocznym wnętrzu.

- To jest Tunel Drugi - wyjaśnił Drugi Detektyw. - Mamy też inne wejście do Kwatery Głównej, ale najczęściej włazimy tędy.

- Kwatery Głównej? - zdziwił się Jeremy. - Chcesz powiedzieć, że spotykacie się na narady w tej kupie złomu?

Pete roześmiał się.

- Tak i nie. Chodź, sam zobaczysz.

Jeremy popełznął śladem Pete'a aż do miejsca, w którym zobaczył nad głową kwadratowy otwór. Uniósł się na nogi i tuż za Pete'em wychynął z włazu niczym majtek na okręcie podwodnym. Jego oczom ukazał się mały, zapchany różnymi gratami pokoik. Stał w nim stół i parę krzeseł, pod ścianą widać było segregator z szufladkami, pozostała przestrzeń zapełniona była wszelkiego rodzaju osprzętem. Nie brakowało nawet wypchanego kruka! Kiedy wydostał się na górę, Bob i Jupiter powitali go uśmiechem.

- Ho, ho, to prawdziwy salon - stwierdził z uznaniem Jeremy. - Wiem, ta rura idzie pod hałdą i prowadzi do budynku, którego nie widać z tamtej strony. Zgadłem?

- Spudłowałeś - odparł Jupiter z przekornym błyskiem w oczach. - Znajdujesz się teraz w samym środku tej wielkiej góry!

- W takim razie jak wam się udało urządzić ten pokój?

Trzej chłopcy roześmieli się jak na komendę.

- Prosta sprawa - wyjaśnił Bob. - To jest taka sama mieszkalna przyczepa, jak i wasza, tyle że mniejsza. Postawiliśmy ją w tym miejscu i narzuciliśmy na nią górę rupieci.

- Nikt nie wie, że mamy coś takiego - odparł Pete - ale możemy obserwować całe otoczenie przez obrotowy peryskop.

- Kiedy tu jesteśmy - włączył się Jupiter - nikt nie ma najmniejszych szans, żeby nas znaleźć.

- A dzięki tej kryjówce - dokończył Pete - możemy mieć w nosie ciocię Matyldę i robótki, które nam wynajduje!

Tym razem cała czwórka wybuchnęła gromkim śmiechem. Jupiter wskazał Jeremy'emu ostatnie wolne krzesło i zaproponował, żeby się zabrać do pracy.

- A więc, Jeremy, przypomniałeś sobie jakiś fakt z życia twojego starego, który by wyjaśniał, o co może chodzić Karnesowi?

- Nie, Jupe. Zastanawiałem się nad tym całe popołudnie, ale nic nie znalazłem. Odkąd pamiętam, zawsze mieszkaliśmy w Rocky Beach i tata nie miał nigdy żadnych problemów ani nie maczał palców w podejrzanych sprawach. Przedtem, kiedy jeszcze pływał na statku, mieszkał razem z mamą w San Francisco. A kiedy mama umarła, przeprowadziliśmy się tutaj i przez pewien czas tata był szyprem na rybackim kutrze. W końcu wydzierżawił od Evansów ten cypel nad zatoką i zaczął dawać te pokazy, które widzieliście.

Jupiter skinął głową.

- Tak, to jest dokładnie to samo, czego i ja dowiedziałem się o twoim ojcu. Trudno znaleźć tu coś niezwykłego, o co można by się zaczepić. A ty, Bob, upichciłeś w swoim laboratorium coś na temat Purpurowego Pirata?

Bob pokręcił przecząco głową.

- Prawie nic ponad to, co usłyszeliśmy od kapitana Joya. Wiem tylko tyle, że Hiszpanie byli absolutnie pewni, że Purpurowy Pirat to William Evans, ale nigdy nie udało się im go schwytać, żeby to udowodnić. Wiele razy sądzili, że już go mają w tej wieży, ale on ciągle się im wymykał. Kiedy wrócił razem z Amerykanami, był już wtedy zwyczajnym, godnym szacunku obywatelem, jak wielu innych.

- Jeżeli chodzi o Zatokę Piratów, to jest mnóstwo materiału na jej temat - odezwał się Pete. - Kilka książek i wiele artykułów. Wykorzystywał ją jako melinę nie tylko Purpurowy Pirat, ale i wielu innych niebieskich ptaszków - przemytnicy, rozbójnicy z lądu, a nawet szmuglerzy, którzy przemycali tamtędy whisky w okresie prohibicji. Załatwiano tam ciemne interesy wszelkiego rodzaju, nie znalazłem jednak nic, co by dotyczyło kapitana Joya czy Karnesa, a nawet kogoś z rodziny Evansów, oczywiście z wyjątkiem słynnego pirata.

Jupiter nachmurzył się.

- No cóż, zdaje się, że z tej strony nie otrzymamy wielkiego wsparcia. Wszystko

wskazuje na to, że jedynym naprawdę liczącym się tropem jest sam Purpurowy Pirat. Wiemy już, że major i jego ludzie próbowali się gdzieś dokopać, nadal jednak nie domyślamy się nawet, dlaczego prowadzą obserwację terenu pirackiej siedziby, ani po co nagrywają opowieści ojca Jeremy'ego.

- Może podejrzewają, że gdzieś tam jest ukryty piracki skarb - odezwał się Pete - i starają się odciągnąć kapitana Joya, żeby nie odnalazł go przed nimi.

- Albo nie chcą, żeby kapitan ich podpatrzył - zasugerował Bob - bo mógłby domagać się uznania skarbu za jego własność.

- Może być i tak - włączył się do tych rozważań Jupiter - że kapitan ma jakąś informację, której Karnes potrzebuje, żeby kopać we właściwym miejscu! Zaprasza więc kapitana, żeby ciągnął swoje opowieści, w nadziei, że prędzej czy później niczego nie podejrzewający kapitan niechcący wygada się z tym!

- Albo już się wygadał - powiedział Jeremy.

Jupiter zamyślił się.

- Jeżeli kapitan mimo woli zdradził już miejsce ukrycia skarbu, to dlaczego Karnes kontynuuje nagrania? A z drugiej strony, jeżeli kapitan nie jest świadom tego, że posiada tak ważną informację, dlaczego Karnes i jego banda obserwują teren przez całą dobę? Myślę, że powinniśmy dowiedzieć się wszystkiego, co kapitan już im powiedział albo ma zamiar powiedzieć podczas tych nagrań. Tak, chłopaki!

- O rany, mogę wam w tym pomóc - oświadczył Jeremy. - Może mi się uda buchnąć im te taśmy, zabiorę też ze sobą mały magnetofon, żeby nagrać to, co będziemy teraz opowiadać.

- My? - spytał Jupiter, wpatrując się ze zdziwieniem w Jeremy'ego. - Rzeczywiście, wczoraj także towarzyszyłeś ojcu. Bo musisz wiedzieć, że mam ten sklep pod obserwacją.

- Jasne, że towarzyszyłem - oświadczył z lekkim zakłopotaniem Jeremy. - A czemu by nie? Jeśli chcesz wiedzieć, major nalegał, żebym przychodził także. Stwierdził, że ponieważ tata latami opowiadał mi te historyjki, jestem w stanie dopilnować, żeby o czymś nie zapomniał.

Oczy Jupitera rozjaśniły się.

- Nie pomylę się chyba, jeśli powiem, że majora Karnesa nie było ani razu przy tych wieczornych nagraniach?

Jeremy potwierdził to przypuszczenie kiwnięciem głową.

- Możesz mi jeszcze powiedzieć, Jeremy, gdzie spędza noce Sam Davis?

- Wynajmuje pokój tu, w Rocky Beach.

- Czy ktoś jeszcze, oprócz ciebie i twojego ojca, mieszka na terenie siedziby Purpurowego Pirata?

- Nie, nikt. Oczywiście nie licząc Joshuy Evansa.

- I jeszcze jedno pytanie. Powiedz mi, Jeremy, jak długo trwają wieczorne nagrania? - spytał Pierwszy Detektyw.

- Mniej więcej od dziesiątej do jedenastej.

- Posłuchaj, Jeremy, dziś wieczorem pojedziesz, jak zwykle, na nagranie. Ale każ kompanom Karnesa, aby wyłączyli urządzenie do klimatyzacji i otworzyli okno. Będę prowadził obserwację na zewnątrz i chciałbym usłyszeć wasze opowiastki.

Pozostali chłopcy wymienili spojrzenia zdradzające zaintrygowanie.

- Myślę, że znam już rozwiązanie naszej zagadki - powiedział Jupiter - i mam nadzieję, że dziś wieczorem wyjaśnimy całą tajemnicę!

Rozdział 11

Nocne czaty

Niedługo potem, o ósmej wieczorem, Trzej Detektywi spotkali się znowu w zamaskowanym sztabie, aby rozpocząć realizowanie planu, opracowanego przez Jupitera.

- A więc - powiedział szef zespołu - Jeremy pojedzie z ojcem na wieczorne nagranie. Ja zaczaję się od tyłu, za sklepem, żeby prowadzić obserwację. Pete będzie śledził to, co się będzie działo w siedzibie Purpurowego Pirata. Nasze nowe walkie-talkie mają zasięg około pięciu kilometrów, ale pusty sklep przy ulicy De La Vina jest oddalony o przeszło osiem kilometrów od Zatoki Piratów, toteż Bob zajmie pozycję gdzieś w połowie drogi i będzie przekazywał polecenia od jednej czujki do drugiej! Wszystko jasne, koledzy?

Bob i Pete kiwnęli potakująco głowami, po czym cała trójka wskoczyła na rowery, żeby pojechać na wyznaczone dla wszystkich stanowiska.

Kiedy Pete znalazł się na bocznej drodze prowadzącej do Zatoki Piratów, było już prawie ciemno. Tuż przed dojechaniem na miejsce Pete wyłączył światła swego roweru i zboczył w kierunku zagajnika, rosnącego po drugiej stronie drogi, naprzeciwko wejścia do historycznej pirackiej kryjówki. Odczekał chwilę, aby przyzwyczaić wzrok do panujących wokół ciemności, a potem uważnie rozejrzał się dokoła. Zobaczył, że ciężarówka z firmy Allena nadal stoi przy drodze, naprzeciwko kamiennej baszty. Przelotny błysk palącego się papierosa powiedział mu, że ktoś siedzi w szoferce samochodu, nieustannie prowadząc obserwację.

- Bob, tu Pete - powiedział cicho do mikrofonu swego walkie-talkie - przekaż szefowi, że pomocnik majora Carl nadal siedzi na czatach przy drodze na wysokości wieży.

Zaczajony przy małym wzniesieniu przy autostradzie, w połowie drogi do Rocky Beach, Bob pochylił się nad przydzielonym mu walkie-talkie.

- Szefie, Pete melduje, że Carl prowadzi ciągle obserwację cypla nad Zatoką Piratów.

Oddalony o prawie cztery kilometry od Boba Jupiter przycupnął w krzakach, rosnących za oknem pokoiku położonego na zapleczu pustego sklepu przy ulicy De La Vina.

- Doskonale, Bob. Karnes, Hubert i ten łysy siedzą w środku, na razie całkowicie bezczynnie. Powiedz Drugiemu, żeby miał oczy otwarte na wszystko i nie dał się zaskoczyć.

Ukryty w cieniu drzew Pete nie potrzebował ostrzeżenia Jupitera. Wystarczała mu

świadomość, że o kilkadziesiąt metrów od niego czaił się członek bandy, którą należało zdemaskować. Oparłszy się plecami o drzewo, przykucnął w miejscu, z którego otwierał się widok na parking, bramę wejściową, dwie najwyższe kondygnacje kamiennej baszty i kryjącą samotnego obserwatora ciężarówkę.

Kiedy ostatnie odblaski zachodzącego słońca zgasły nad zatoką, zapaliła się latarnia na słupie stojącym koło bramy. W chwilę potem Pete usłyszał odgłos zapuszczania motoru gdzieś w głębi pirackiej siedziby, po czym ujrzał światła zbliżającego się pikapa kapitana Joya. Wyskoczył z niego Jeremy, aby zamknąć bramę, a potem odjechał wraz ze swym ojcem. Pete popatrzył w kierunku ledwo widocznej w mroku ciężarówki. Nadal stała bez ruchu. Niedostrzegalny z tej odległości Carl palił w kabinie kolejnego papierosa.

Do Boba powędrował następny meldunek Pete'a:

- Kapitan Joy i Jeremy wyruszyli właśnie do Rocky Beach. Carl tkwi na miejscu. Nadal prowadzi obserwację.

Bob natychmiast przekazał meldunek Jupiterowi. Załatwiwszy się z tym, zaczął przyglądać się okrytej mrokiem drodze i w parę minut później zobaczył jadącego nią w kierunku miasta pikapa kapitana Joya.

Zaczajony pod oknem sklepu Jupiter wysłuchał meldunku Boba, ani na chwilę nie przestając obserwować trzech mężczyzn, znajdujących się w środku. Jeszcze zanim Bob zdążył wszystko powiedzieć, Jupiter spostrzegł, że major Karnes spogląda na zegarek, wstaje z krzesła i rusza do drzwi. Zaraz potem zerwał się na równe nogi i pospieszył za nim słoniowaty Hubert. W pokoiku na zapleczu został tylko mężczyzna z wąsami.

Jupiter błyskawicznie prześliznął się wzdłuż bocznej ściany budynku i wyjrzał na dziedziniec. Karnes i Hubert szybkim krokiem wyszli ze sklepu, dźwigając naręcze worków i narzędzia do kopania, i skierowali się do furgonetki, która odjechała w chwilę później.

Jupiter poinformował o tym Boba, a potem wrócił do swej kryjówki za sklepem. Łysy facecik sprawdził magnetofon, włożył do niego kasetę i postawił dwa krzesła przed biurkiem. Jupiter usłyszał, że na dziedziniec wjeżdża samochód. Niedługo potem do pokoiku na zapleczu wkroczył kapitan Joy z synem. Jeremy skulił ramiona, jakby mu było zimno, i zamienił parę słów z łysym mężczyzną, który niezbyt ochoczo wyłączył klimatyzator i otworzył okno. W chwili gdy łysy zajęty był sadowieniem kapitana przy biurku, Jeremy podszedł do otwartego okna i wyjrzał w ciemność, rozglądając się za Jupiterem. Cofnął się jednak, tak jakby zdał sobie sprawę, że może w ten sposób zdemaskować zaczajonego w krzakach kolegę, a potem odwrócił się szybko i podszedł do biurka z magnetofonem. Łysy

pomocnik Karnesa zadawał się nie zwracać uwagi na jego zachowanie.

- Panie Santos - powiedział kapitan - chciałbym przesłuchać taśmy, które już nagraliśmy.

- Och, bardzo mi przykro, kapitanie - odparł Santos. - Zdaje mi się, że major zabiera je ze sobą do jakiegoś studia nagraniowego.

- A w jakim celu? - spytał Jeremy.

- Musi je przecież opracować, no nie? No i musi zrobić kopie dla prezesów Towarzystwa, kapujesz? Lepiej nie traćmy czasu i zabierzmy się do roboty, dobra?

Stwierdziwszy to, Santos posadził Jeremy'ego przy biurku i nacisnął przycisk magnetofonu. Następnie, kiedy kapitan rozpoczął kolejną piracką opowieść, wycofał się do kącika przy drzwiach i pogrążył nos w jakimś komiksie.

Ukryty w krzakach za oknem Pierwszy Detektyw w zamyśleniu przyglądał się temu, co działo się w środku. Dokąd też mogli pojechać Karnes i ten jego osiłek? Zostawili Carla na czatach nad zatoką, a Santosowi polecili doglądać kapitana Joya i Jeremy'ego, nagrywających swoje historyjki za dwadzieścia pięć dolarów na godzinę. To wynagrodzenie było wystarczającym argumentem, skłaniającym kapitana do możliwie maksymalnego przedłużenia opowiastek. Jaki był cel tego wszystkiego? Jupiter zaczynał domyślać się, po co Karnes organizuje te nagrania. A jeszcze znacznie, znacznie silniejsze przeczucia ogarnęły go co do celu jego nocnej eskapady w towarzystwie Huberta!

Stojąca przy drodze samotna latarnia oświetlała budkę kasy biletowej i zamkniętą bramę. W jej bladym świetle niewyraźnie majaczył pogrążony w bezruchu parking. Jedyną oznaką życia był jarzący się od czasu do czasu, to znów przygasający, czerwony punkcik w kabinie ciężarówki, w której zasiadł na czatach Carl, bez przerwy paląc papierosy. Z rzadka przejeżdżał drogą jakiś samochód, raz tylko z toru wodnego na zatoce uniósł się hydroplan z lotniczej bazy po drugiej stronie.

W pewnym momencie od strony Rocky Beach podjechała powoli i niemal bezgłośnie furgonetka. Wtoczyła się na parking i zatrzymała z wyłączonymi światłami tuż przy bramie. Niemal jednocześnie otworzyły się drzwi po obu stronach kabiny. Z jednych wyskoczył lekko major Karnes, z drugich wygramolił się jego słoniowaty pomocnik.

- Bob! - szepnął do mikrofonu swego nadajnika Pete. - Major i Hubert już są tutaj!

Zaczajony pod oknem na ulicy De La Vina Jupiter przyłożył do ucha swój odbiornik, aby przyjąć meldunek Pete'a przekazany przez Boba.

- Dokładnie tak, jak przypuszczałem, Bob! Całe to nagrywanie jest tylko podstępem,

który ma odciągnąć kapitana i Jeremy'ego po to, by Karnes i jego kumple mogli spokojnie szukać w ziemi tego, co tam jest zakopane. Być może wiedzą, co, i kopią na pewniaka, ale nie jest wykluczone, że opierają się tylko na jakichś przypuszczeniach!

W głośniku znowu ozwał się cichy, zniekształcony trzaskami głos Boba:

- Pete melduje, że Karnes i Hubert czekają przed bramą. Teraz podchodzi do nich Carl. Zdaje się, że Carl mocuje się z kłódką na bramie. Brama otwarta, major i Hubert wjeżdżają do środka. Jadą bardzo, bardzo powoli. Nie zapalili świateł. Są już w środku. Carl zamknął bramę i wraca do ciężarówki. Furgonetka Karnesa znikła z pola widzenia Pete'a.

Jupiter zagryzł wargi.

- Bob, powiedz Pete'owi, żeby poszedł za nimi. Konieczni musi się dostać do środka.

Ukryty w cieniu drzew Pete nerwowo potrząsnął głową.

- W żaden sposób nie przedostanę się bramą. Carl znajduje się teraz w górze, na podniesionym wysięgniku, i na pewno by mnie zobaczył. Nie mogę też przeleźć przez parkan. Jest za wysoki i zbyt gładki. Nawet gdyby mi się udało, Carl na pewno by mnie dojrzał.

- Jupe twierdzi, że musi być jakiś sposób dostania się do środka, żeby zobaczyć, co oni tam robią - zabrzmiała odpowiedź Boba.

Pete zaczął rozglądać się po całym terenie w poszukiwaniu jakiejś dziury, którą mógłby dostać się do pirackiej kryjówki, nie zwracając uwagi Carla.

- Być może coś znajdę - powiedział po chwili do mikrofonu. - Spróbuję obejść dookoła tę przetwórnię ostryg. Parkan dochodzi aż do niej, ale jeżeli pójdę dalej, być może uda mi się dostać na pirs, który odchodzi od nabrzeża, a potem przypłynąć z powrotem przez zatokę. W ten sposób będę niewidoczny dla Carla.

Przez dłuższą chwilę nocnej ciszy nie zakłócił żaden dźwięk. Po drugiej stronie parkanu panowała głucha cisza. Żadnych szmerów ani świateł.

- Słuchaj, Pete - zabrzmiał wreszcie głos Boba - to może się udać. Ale bądź ostrożny!

Rozdział 12
Pełne worki

Spod osłony drzew Pete obserwował majaczący o kilkadziesiąt metrów od niego cień ciężarówki. Widoczny chwilami wyraźnie czerwony punkcik, jarzący się w mroku, powiedział mu, że Carl ciągle znajduje się na platformie wysięgnika, uniesionego na tyle, aby można było z jego wysokości obserwować piracką siedzibę za wysokim parkanem.

Drugi Detektyw omiótł wzrokiem drogę i pusty parking. Gdyby pozostał po tej stronie drogi i pod osłoną zagajnika doszedł na wysokość przetwórni, oddalając się przez cały czas od Carla, mógłby błyskawicznym susem niezauważalnie przemknąć na drugą stronę.

Rzuciwszy jeszcze raz okiem w stronę Carla, Pete pochylił się i ruszył biegiem między drzewami, a potem jednym skokiem przebiegł przez drogę i ukrył się za budynkiem przetwórni. Zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Jednak żaden szmer ani ruch nie wskazywał na to, że został dostrzeżony.

Upewnił się, że z tej strony nic mu nie grozi, po czym przemknął wzdłuż ściany budynku aż do miejsca, w którym niemal stykał się on z należącym do przetwórni pirsem. Po wystających belkach i szczerbach w drewnianym obiciu wspiął się na tyle, aby przeskoczyć przez ograniczającą pomost, obitą deskami barierę i nabrawszy powietrza w płuca, z głuchym stukotem dał susa na pokryty grubymi balami pirs. Tuż pod nim migotała, widoczna poprzez szczeliny, ciemna toń zatoki. O piętnaście albo dwadzieścia metrów dalej, oddzielony pasem kołyszącej się leciutko wody, majaczył w mroku półwysep i zabudowania dawnej pirackiej kryjówki.

Szybko zdał sobie sprawę, że aby pokonać dystans dzielący go od pirackiego cypla, musi skoczyć wprost do wody i popłynąć. Obmacując powierzchnię pomostu, natknął się na linę, służącą zapewne do przywiązywania łodzi. Pociągnął ją ku sobie i stwierdził, że jej drugi koniec przymocowany jest do jakiejś klamry. Czując, że chłód czerwcowej nocy zaczyna przejmować go dreszczem, westchnął głęboko i ujął mocno linę, a potem opuścił się po niej aż do powierzchni wody.

Przez dłuższą chwilę wisiał tak, wahając się i nabierając sił przed pogrążeniem się w zimnej i czarnej toni, wreszcie zwolnił chwyt i skoczył!

Ku swemu zdziwieniu stwierdził, że stoi na dnie, mając wodę zaledwie po kostki!

Zaczerwieniony z przejęcia, rozejrzał się szybko, czy ktoś nie przyglądał się przypadkiem mrożącemu krew w żyłach skokowi w parocentymetrową głębinę, a potem

żwawo ruszył w stronę brzegu pirackiego półwyspu.

Czując pod nogami suchy ląd, pochylił się i bezszelestnie pomknął ku czerniejącej w pobliżu przyczepie kapitana Joya. Naokoło panował spokój i cisza.

Rzucił okiem w stronę kołyszącego się z lekkim poskrzypywaniem lin, przycumowanego do nabrzeża statku, nie dostrzegł jednak ani nie usłyszał nic podejrzanego. Ostrożnie ruszył promenadową aleją między drewnianymi budynkami, mieszczącymi handlowe stoiska z jednej i pirackie muzeum z drugiej strony. Oba były zamknięte i miały spuszczone aż do dołu żaluzje. Nigdzie nie było śladu furgonetki majora Karnesa.

Obszedłszy budynek muzeum, Pete zawrócił wzdłuż jego tylnej ściany w kierunku brzegu i majaczącego w ciemnościach dziobu "Czarnego Sępa". Przystanął na chwilę i pochylił się nad nadajnikiem.

- Bob, jestem już na terenie pirackiej bazy. Sprawdziłem przyczepę Joya, oba budynki i statek. Nigdzie śladu jakichś podejrzanych ruchów, nie widać też furgonetki. Nie wiem, jak to rozumieć, ale zwyczajnie ich tu nie ma!

W chwilę potem w przyciszonym głośniku zabrzmiała odpowiedź Boba:

- Szef mówi, że oni muszą gdzieś tam być. Powiedział, żebyś dalej ich szukał.

Jęknąwszy cicho, Pete zawrócił i ruszył w stronę pasa zielonych dębów, oddzielających teren przeznaczony dla turystów od wieży Joshuy Evansa i zrujnowanego, starego hangaru ze slipem do wyciągania łodzi. Zatrzymał się między drzewami i zaczął nasłuchiwać. Jego uszu dochodził wyłącznie szelest liści poruszanych lekkim wiatrem i pluskanie wody o brzeg zatoki. A jedyne światło padało z okna najniższej kondygnacji wieży, położonego naprzeciwko wysokiego parkanu, oddzielającego piracki półwysep od drogi.

- Widzę światło w wieży Joshuy Evansa - szepnął do mikrofonu swego nadajnika. - Spróbuję podejść bliżej i zobaczyć, co tam się dzieje.

Pod osłoną dębów posunął się teraz do parkanu, a potem, kryjąc się w jego cieniu, ruszył w kierunku wieży. Kiedy znalazł się naprzeciwko niej, położył się na trawie i poczołgał w stronę oświetlonego okna. Uniósłszy się ostrożnie, zajrzał do środka. Zobaczył Joshuę Evansa, czytającego w wygodnym fotelu książkę. Przyglądając się potomkowi słynnego pirata zobaczył, że raz, a potem drugi podnosi on głowę, jakby nasłuchując. Pete przeraził się. Czyżby narobił jakiegoś hałasu, którego sam nie usłyszał? Gwałtownym ruchem odsunął się od okna, przy czym potrącił nogą stojącą obok konewkę, która potoczyła się po ziemi z głośnym klekotem.

Błyskawicznie rzucił się na trawę i znieruchomiał!

Drzwi wieży otworzyły się gwałtownie. W padającej z nich smudze światła ukazał się

Joshua Evans z pistoletem w dłoni! Potężnie zbudowany mieszkaniec baszty rozejrzał się bystro. Pete poczuł na plecach dreszcz przerażenia. Jeśli Evans ruszy w jego kierunku...

- Miaaauuu!

Do stojącego w drzwiach mężczyzny podbiegł nagle czarny kot i zaczął ocierać się o jego nogi. Evans roześmiał się i opuścił broń.

- To ty, Czarnobrody? Na starość zaczynam się robić za bardzo nerwowy. Do domu, szelmo!

Wziąwszy kota na ręce, Evans znikł we wnętrzu wieży. Pete otarł rękawem pot z czoła. Gdyby nie ten kocur... Błyskawicznie odczołgał się pod płot, a potem wrócił pod osłonę zielonych dębów.

- Przekaż szefowi, że światło w wieży okazało się lampą, przy której Evans czyta książkę - powiedział do nadajnika swego walkie-talkie. - Nadal ani śladu Karnesa i Huberta. Wygląda na to, że zapadli się pod ziemię.

Ukryty w krzakach za sklepem Jupiter zamyślił się.

- Ta ich furgonetka musi tam gdzieś stać - powiedział do nadajnika.

W chwilę potem nieustępliwy szef trójki detektywów spojrzał na zegarek. Dochodziła jedenasta. W tym momencie dał się słyszeć szept Boba.

- Drugi Detektyw melduje, że obie stare wozownie mają z tyłu podwójne drzwi, dość szerokie, aby mógł przez nie przejechać samochód Karnesa. Ale Pete obawia się, że gdyby chciał dostać się do środka, a major już tam był, to mógłby go zauważyć.

- Nie! - odpowiedział Jupiter. - Nie wolno dopuścić, żeby nas dopadli, zanim nie dowiemy się, co właściwie jest grane. Co Pete może jeszcze zrobić?

W pokoiku za sklepem Santos otworzył torebkę solonych orzeszków i poczęstował nimi kapitana i Jeremy'ego. Bob odezwał się znowu, aby przekazać następną propozycję Drugiego Detektywa.

- Pete uważa, że najlepszą rzeczą, jaką może zrobić, jest zaczajenie się gdzieś przy bramie po to, żeby zobaczyć, skąd wyjedzie furgonetka, kiedy major zdecyduje się wracać do siebie.

Jupiter przytaknął.

- Tak, to będzie chyba najlepsze. Myślę, że... zaczekaj, zaraz! Zdaje się, że nagranie już się kończy. Tak, jest dokładnie jedenasta. Kapitan i Jeremy zbierają się do wyjścia.

Tuż za rogiem budynku mieszczącego muzeum, niedaleko bramy wjazdowej, Pete

leżał na brzuchu i obserwował promenadową aleję, u wylotu której kołysał się ciemny kształt przycumowanego do przystani “Czarnego Sępa”. Od czasu do czasu, poprzez jednostajny szelest wiatru i plusk drobnych fal, łamiących się na brzegu, dochodziło go skrzypienie lin, trących o drewniane części osprzętu i kadłuba statku.

Poczuł, że ogarnia go senność. Aby nie zapaść w jakąś przypadkową drzemkę, podparł brodę na rękach i zaczął szybko mrugać powiekami. Niedługo potem zobaczył nagle w alei furgonetkę, jadącą bez świateł w stronę bramy. Jej widok zaskoczył go całkowicie. Nie usłyszał szumu rozrusznika uruchamiającego silnik i nie miał pojęcia, z której strony auto wjechało w alejkę. Szybko spojrzał na zegarek. Była jedenasta,

Widząc, że furgonetka zatrzymuje się cicho przed bramą, jeszcze mocniej przylgnął do ziemi. Obok kabiny zamajaczyła masywna sylwetka Huberta, który otworzył oba skrzydła bramy. Furgonetka ruszyła i zatrzymała się znowu po drugiej stronie. Pete zauważył, że jej tylne drzwi otwierają się, tak jakby ktoś zapomniał je zatrzasnąć. I zanim Hubert zdążył zamknąć bramę, oczom Pete’a ukazało się wyraźnie w świetle padającym od latarni wnętrze tylnej części samochodu. Było wyładowane rzędami wypełnionych czymś worków!

Z kabiny wyjrzał siedzący za kierownicą major Karnes.

- Ty bałwanie - syknął wściekle. - Nie zamknąłeś tylnych drzwi! Zatrzaśnij je i właź do środka!

Niezdarny gigant rzucił się, szurając nogami, aby spełnić polecenie szefa. Zatrzasnąwszy drzwi, zastygł nieruchomo i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w kąt, w którym leżał przyczajony Pete! Chłopiec wstrzymał oddech i zamarł bez ruchu.

- No co tam jeszcze marudzisz, idioto? - ponaglił go głos z kabiny.

Hubert podrapał się po głowie i nie zwlekając dłużej, wsiadł do samochodu. Błysnęły drogowe światła i w chwilę potem furgonetka rozpłynęła się w nocnych ciemnościach. Pete sięgnął po nadajnik.

- Karnes i Hubert właśnie odjechali. Być może Hubert mnie zauważył. Nadal nie wiem, gdzie byli przez cały ten czas ani skąd wyjechali, udało mi się tylko zajrzeć do środka przez tylne drzwi. Furgonetka była wyładowana pełnymi workami, ale nie wiem, co w nich wywieźli!

Ukryty w krzakach przy ulicy De La Vina Jupiter zobaczył, że kapitan Joy i Jeremy wychodzą z pokoiku na zapleczu. W chwilę potem doszły go odgłosy odjeżdżającego pikapa. Tuż po ich wyjściu Santos zatrzasnął okno i włączył na nowo klimatyzator, a potem przewinął nagrane przez kapitana taśmy i jedną z nich włożył do magnetofonu, aby była gotowa na następne spotkanie. Jupiter nie miał wątpliwości, że cała ta operacja nagrywania

jest zwykłym kamuflażem.

W tym momencie Bob przekazał mu meldunek Pete'a o pełnych workach w furgonetce Karnesa. Wiadomość ta podekscytowała Jupitera.

- Pełne worki? W takim razie znajduje się w nich to, czego szukają. Czy Pete mógłby przyjrzeć się im bliżej? Zobaczyć, co w nich jest?

- Nie, furgonetka już odjechała. Pete mówi, że Carl w dalszym ciągu obserwuje teren, Pete będzie więc musiał wyjść stamtąd tą samą drogą, którą dostał się do środka, a potem przyjdzie do KG, żeby dołączyć do nas.

- W porządku - powiedział Jupiter, a potem zamyślił się zagryzając wargi.

- Bob, tak szybko, jak tylko możesz, przyjeżdżaj tu pod sklep.

W piętnaście minut później Jupiter usłyszał, że na dziedziniec wjeżdża jakiś samochód. Po chwili w pokoiku zjawił się major Karnes, a tuż za nim ciężko wtoczył się Hubert. Karnes i Santos pogrążyli się w trwającej dłuższy czas rozmowie, podczas gdy Hubert zabrał się do wyjadania z torebki resztek orzeszków, gapiąc się bezmyślnie w ciemną noc za oknem. W pewnym momencie Santos kiwnął na Huberta, który pospieszył za nim, ciężko powłócząc nogami. Jupiter był pewien, że jadą zastąpić Carla na jego punkcie obserwacyjnym koło pirackiej siedziby.

Od strony muru doszedł Jupitera odgłos skrobania. Chłopiec odwrócił się błyskawicznie.

Na szczycie muru zajaśniała w mroku najpierw jedna, a potem druga ręka. Jupiter zaczął odruchowo obmacywać ziemię wokół siebie w poszukiwaniu jakiejś broni. Natknął się na leżącą z boku gałąź i uchwycił ją z całej siły.

Zza muru zaczęła wyłaniać się głowa. Widać już było włosy, potem czoło, okulary... Okulary?

- Jestem, szefie - szepnął Bob i bezgłośnie zsunął się na ziemię, a potem na czworakach podpełznął do odprężonego już Pierwszego Detektywa.

- Cieszę się, Bob, żeś przyjechał. Kucnij tu, na moim miejscu, a ja pójdę zobaczyć, co jest w tych workach. Zabiorę też nasz przyrząd do tropienia śladów. Gdyby ci się wydawało, że Karnes ma zamiar wyjść na dwór, daj mi ostrzeżenie!

Kiedy Jupiter znikł za rogiem budynku, Bob zaczął obserwować Karnesa, który podniósł się z krzesła i przemierzał pokój tam i z powrotem tak, jakby usilnie się nad czymś zastanawiał. Co parę kroków niecierpliwie uderzał trzymanym w ręku krótkim biczykiem po cholewach swych butów do konnej jazdy. W głośniku walkie-talkie ozwał się przyciszony głos Jupitera:

- Mam to z głowy, Bob. Zabrałem nasz pojemnik i zajrzałem do worków. Wracamy do domu.

- Jupe! - wykrzyknął Bob pełnym niemal głosem. - Co jest w tych workach?

Jupiter wyłączył już jednak swój odbiornik i przez główną bramę wymknął się na ulicę, aby wsiąść na czekający tam na niego rower. W chwilę potem Bob dołączył do niego i obaj pomknęli na złomowisko. Niedługo po nich w Kwaterze Głównej zjawił się także Pete.

Jupiter pokazał obu kolegom bezużyteczny już, brzydko wyszczerbiony przyrząd do tropienia śladów, który musiał rąbnąć w czasie jazdy w jakąś przeszkodę i został przedziurawiony.

- Nie mamy forsy na następny - westchnął ciężko Bob.

- Nie zawracaj sobie głowy takim drobiazgiem - rzucił niecierpliwie Pete. - Jupe, co było w tych workach w furgonetce?

- Ziemia - odparł Jupe.

- Ziemia? - wykrzyknęli jednocześnie Bob i Pete.

- Ziemia i jakieś skalne odłamki - powtórzył Jupiter. - Dziesięć worków pełnych suchego piachu i kamieni.

- Ale... - zdziwił się Pete - w jakim celu?

- Żeby nikt nie zorientował się, że ktoś kopie na terenie dawnej pirackiej bazy. W ten sposób usuwają ślady, które mogłyby kogoś zaalarmować - stwierdził z posępną miną Jupiter. - Jutro będziemy tam z powrotem, żeby udowodnić kapitanowi, że te nagrania to zwykła mistyfikacja. A potem znajdziemy miejsce, w którym Karnes kopie, i dowiemy się, w jakim celu to robi!

Rozdział 13

Popłoch w muzeum

W chwili gdy następnego ranka Bob wchodził do Kwatery Głównej, Jupiter odkładał słuchawkę telefonu.

- Pete nie może przyjść! Ojciec powiedział mu, żeby skończył wreszcie z odkładaniem roboty na potem i przyciął ozdobne krzewy u sąsiada. Będziemy musieli kontynuować dochodzenie sami. A on dołączy do nas w zatoce, jak tylko będzie mógł.

Bob uśmiechnął się.

- Pewno strasznie się wścieka.

- Tak, nie był tym specjalnie zachwycony - przyznał Jupiter. - Mnie też to zmartwiło. Mamy o jedną osobę mniej do szukania miejsca, w którym Karnes prowadzi te wykopki, i nie sądzę, aby nam poszło zbyt łatwo. Może będziemy musieli się rozdzielić w czasie tych poszukiwań. Zabierzemy jednak wszystkie trzy walkie-talkie.

Bob błyskawicznie zapakował sprzęt do plecaka i w chwilę potem obaj chłopcy, opuściwszy przez Pierwszą Zieloną Bramę teren składnicy złomu, ostrożnie pedałowali w porannej mgle w kierunku pirackiego półwyspu. Nad cichą i bezludną o tej porze dnia zatoką wisiał gęsty opar.

- Dzwoniłem do Jeremy'ego - poinformował kolegę Jupiter. - Obiecał mi, że przypilnuje, aby jego ojciec czekał na nas.

Dojeżdżając do otwartej bramy pirackiej siedziby, Bob mrugnął porozumiewawczo do Jupitera.

- Widzisz? Jest ta lipna furgonetka z lodami. Chyba mignął mi też Hubert, tam, między drzewami - powiedział ściszonym głosem.

Jupiter obejrzał się przez ramię i wyszczerzył zęby.

- Jest tam, rzeczywiście. Ukrył się jak wieloryb w wannie! Wygląda zza drzewa, żeby się upewnić, czy nikt na niego nie patrzy.

Minąwszy bramę chłopcy pognali co sił w kierunku mieszkalnej przyczepy, stojącej za budynkiem z kawiarnią i pamiątkami. Jej wejściowe drzwi otworzyły się, zanim zdążyli nacisnąć dzwonek.

- Wchodźcie, chłopaki - powitał ich podniecony Jeremy. - Powiedziałem tacie, że rozwiązaliście już tę zagadkę!

Kapitan Joy siedział przy śniadaniu w miniaturowej kuchni. Zaproponował im po

filiżance kawy, a kiedy grzecznie podziękowali, obrzucił ich uważnym spojrzeniem.

- Powiedziałem wam, żebyście przestali niepokoić majora Karnesa - stwierdził surowo.

- Tak, proszę pana - przyznał Jupiter. - I wcale tego nie robiliśmy. On zupełnie nie zdaje sobie sprawy, że obserwujemy jego działalność.

- Mam nadzieję, że tak jest rzeczywiście - powiedział kapitan. - A więc, jeżeli wyjaśniliście już wszystko, możecie chyba powiedzieć mi, co się w tym kryło.

- Jeremy odrobinę przesadził, proszę pana - odparł Jupiter. - Nie wyjaśniliśmy jeszcze zagadkowych działań majora Karnesa, ale ustaliliśmy, że zdecydowanie kryje się w nich jakaś tajemnica!

Stwierdziwszy to. Jupiter opowiedział kapitanowi o wszystkim, co zdołali zobaczyć i usłyszeć poprzedniego dnia. Kiedy skończył, kapitan nalał sobie nową filiżankę kawy i pociągnął mały łyczek. Na jego twarzy malowało się zaciekawienie połączone z zakłopotaniem.

- Chcesz powiedzieć, że to wszystko, łącznie z Towarzystwem dla Oddania Sprawiedliwości Korsarzom i Piratom, jest zwykłym podstępem, mającym odciągnąć nas stąd po to, aby Karnes mógł tu spokojnie kopać?

- To jest, proszę pana, dokładnie to, co myślimy o sprawie - stwierdził Jupiter.

- Ale co mogą znaczyć wszystkie te czujki? Po co oni obserwują ten teren?

- Tego nie umiem jeszcze wytłumaczyć - przyznał Jupiter - ale mamy już całkiem konkretne podejrzenia, o co tu może chodzić. Gdzieś tu, w Zatoce Piratów, musiał ukryć jakieś łupy Purpurowy Pirat, i o tym fakcie dowiedział się major Karnes i jego banda. Być może mają nawet mapę.

Jupiter opowiedział teraz kapitanowi o tym, że wraz z kolegami widział, jak Karnes studiuje i odmierza coś na jakimś dokumencie. Zwrócił też uwagę kapitana na to, że ludzie Karnesa od trzech dni prowadzą jakieś wykopki na pirackim półwyspie.

Na twarzy kapitana Joya odmalowało się niezdecydowanie.

- Od stu lat nie słyszy się tu nawet plotek o skarbie ukrytym w Zatoce Piratów. Kiedy po powrocie w te strony William Evans zmarł, ludzie rzeczywiście podejrzewali, że mógł pozostawić jakieś skarby, przekopali więc całą okolicę. Nic jednak nie znaleźli i od tamtej pory nikt nie śmiał nawet wspomnieć o czymś takim.

- Być może nie chodzi tu o skarb - zgodził się Jupiter - ale Karnes naprawdę kopie tu szukając czegoś. Proponuję, proszę pana, abyśmy bez względu na to, czy jest tu skarb, czy nie, wyśledzili, gdzie oni kopią.

- Rany Julek - zauważył Jeremy - po trzech dniach kopania musi to być niezła dziura!

- Nie będzie więc trudno znaleźć to miejsce - powiedział kapitan Joy.

- Nie jestem tego pewien - stwierdził z zakłopotaną miną Jupiter. - Jeśli wywożenie ziemi ma na celu ukrycie faktu kopania, dziura nie może znajdować się w widocznym miejscu ani nigdzie tam, gdzie ktoś mógłby się na nią natknąć przypadkiem.

- Ja pójdę z Jeremym - zasugerował Bob - a ty, Jupe, idź z panem kapitanem. Oni dobrze znają teren.

Jupiter kiwnął potakująco głową.

- Na początek, zbadajcie obaj przestrzeń między budynkiem ze straganami i zatoką, a my zajrzymy tymczasem do wnętrza tego budynku.

Obie grupki uzgodniły, że spotkają się nie opodal "Czarnego Sępa". Znalazłszy się wraz z kapitanem na tyłach budynku mieszczącego handlowe stoiska, Jupiter stwierdził, że dryfująca powoli od morza poranna mgła objęła już tę część pirackiej bazy.

- W tym budynku, a także w tym drugim, gdzie teraz jest muzeum, mieściły się kiedyś stajnie. Tam dalej, między drzewami, stał wtedy wielki dom mieszkalny. Ale było to dawno, na długo przed wybudowaniem drogi, która idzie brzegiem zatoki - powiedział kapitan. - Oba budynki nadal mają z tyłu podwójne drzwi, po jednej parze na każdą stajenną przegrodę. Jest tam dość miejsca, aby można było wjechać furgonetką.

Otwarłszy pierwsze z nich, kapitan wprowadził Jupitera do wnętrza, wypełnionego aż po sufit skrzynkami z napojami i pudłami pełnymi sprzedawanych w barze specjałów. Ale choć wnętrze było wystarczająco przestronne, aby można w nim było ukryć małą furgonetkę, Jupiter nie dostrzegł nigdzie najmniejszych śladów kopania ani odcisków opon. Stanowiąca podłogę ubita ziemia była gładka jak stół. Nie inaczej wyglądały obie pozostałe przegrody, toteż wkrótce potem obie grupki spotkały się koło "Czarnego Sępa".

- Nic - zameldował Bob. - Przeszukaliśmy każdy centymetr terenu między budynkiem i wodą i nie znaleźliśmy absolutnie nic.

Wszyscy czterej stwierdzili zgodnie, że furgonetka nie mogła w żaden sposób wjechać na pokład statku. Kapitan Joy spojrzał nagle na zegarek.

- Ej, ej, niedługo trzeba będzie otworzyć nasze podwoje. Coś mi się zdaje, że Sam "Solniczka" gdzieś zabłądził, więc Anna będzie musiała zająć się sprzedażą biletów. Wiecie co, chłopcy, gdyby zwaliło się więcej luda, mógłbym zatrudnić was w jakichś pirackich rolach.

Twarz Jupitera pojaśniała nagle.

- Tak się składa, proszę pana, że mam już spore doświadczenie w tej dziedzinie. Nie

jest wykluczone, że jak będę dorosły, zrezygnuję z kariery wielkiego detektywa i zajmę się aktorstwem.

- Ale na razie - powiedział szczerząc zęby Bob - próbujemy znaleźć miejsce, w którym Karnes stara się razem ze swoją bandą dokopać do wielkiego skarbu. Panie kapitanie, czy mógłby pan pożyczyć nam klucze do muzeum?

Kapitan Joy ochoczo wręczył chłopcom pęk kluczy, a potem pospieszył wraz z Jeremym, żeby przygotować pierwszy tego dnia pokaz. Po ich odejściu Bob i Jupiter przeszli na drugą stronę spacerowej alejki i otworzyli pierwszą parę drzwi w tylnej ścianie budynku mieszczącego muzeum. Mimo iż przegrody, dzielące dawne stajnie, zostały w przedniej części budynku rozebrane, aby dać miejsce na urządzenie ciągłej ekspozycji, z tyłu nadal znajdowały się trzy oddzielne, mroczne pomieszczenia.

- Patrz, czy nie ma odcisków opon i śladów kopania - powiedział z naciskiem Jupiter.

W pierwszym pomieszczeniu nie było jednak nic takiego - żadnych śladów opon, dziur czy grudek świeżej ziemi. Nie lepiej powiodło się chłopcom w drugim. Kiedy zamierzali już je opuścić, Bob uniósł nagle rękę w ostrzegawczym geście.

W oparach mgły zamajaczył za drzwiami jakiś cień i skradając się ostrożnie, zaczął zbliżać się do wejścia!

Rozdział 14

Purpurowy Pirat uderza znowu

- Szybko! - szepnął Jupiter. - Za drzwi!

Nim jednak zdążyli zrobić najmniejszy ruch, tajemniczy cień przeskoczył przez próg i rzucił się na Jupitera. Krępy przywódca dzielnej trójki ucapił napastnika i zwalił go z nóg. Nie namyślając się długo. Bob skoczył w sukurs koledze i w chwilę potem kłąb splątanych rąk i nóg zaczął tarzać się po ziemi.

- Trzymam go za nogę! - krzyknął Bob.

- A ja za włosy! - stęknął z wysiłkiem Jupiter.

- A ja za gardło! - jęknął Pete.

Wijący się kłąb znieruchomiał.

- Pete, to ty? - zapytał z niedowierzaniem Bob.

- Dddrugi Dddetektyw? - zająknął się Jupiter.

- Tak - powiedział zdyszanym głosem Pete. - To ja. Dopiero co tu przyjechałem. Usłyszałem jakieś podejrzane hałasy w muzeum i chciałem zobaczyć, co tu się dzieje. Jupe, może byś wreszcie mnie puścił? Wyrwiesz mi wszystkie włosy!

Zaczerwieniony na twarzy Jupiter zerwał się na równe nogi.

- Usłyszeliśmy, że ktoś się tu skrada - wyjaśnił Bob.

- Przestań wykręcać mi nogę, Bob, to ci uwolnię szyję - zaproponował Pete.

- Trochę winy jest i po naszej, i po twojej stronie - powiedział Jupiter. - Nie zapytałeś kapitana albo Jeremy'ego, gdzie jesteśmy?

- Nie spotkałem żadnego z nich. A jak stoją sprawy? Znaleźliście dziurę, wykopaną przez Karnesa i jego ludzi?

Jupiter pokręcił przecząco głową.

- Ale musimy sprawdzić jeszcze jedno takie pomieszczenie w tym budynku.

Otwarcie ostatniej stajni nie zmieniło jednak niczego. I tu nie było żadnych śladów kopania.

Wyszedłszy na dwór, chłopcy rozstawili się, aby przeszukać przestrzeń między budynkiem i pasem wiecznie zielonych dębów, oddzielających kamienną basztę Joshuy Evansa. W rzedniejącej mgle widać było nowych amatorów przejażdżki "Czarnym Sępem", wolnym krokiem zmierzających ku nabrzeżu. Kawiarenka była już otwarta, a za kontuarem stał sam kapitan Joy. Trzej chłopcy dokładnie sprawdzili teren od parkanu aż po linię wody.

- Nikt tu nigdzie nie kopał - stwierdził Bob.

- Z wyjątkiem Karnesa i Huberta, którzy z całą pewnością gdzieś tu pracują łopatami - odciął się Pete.

- Niemożliwe, abyście obaj mogli mieć rację - podsumował kolegów Jupiter.

- Chyba że Karnes wrócił tu zeszłej nocy i zasypał wszystko tak, jak było przedtem - nie dawał za wygraną Pete.

- W takim przypadku znaleźlibyśmy ślady świeżo poruszonej ziemi - powiedział Jupiter. - Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale patrzyliśmy już wszędzie i jakimś cudem nigdzie...

- Nie wszędzie, szefie - powiedział nagle Bob. - Została jeszcze kamienna baszta i ten stary hangar nad wodą.

Jak na komendę cała trójka odwróciła się w kierunku majaczącej za zieloną zasłoną wieży i walącego się hangaru. Między starymi dębami było dość miejsca, aby mogła przecisnąć się między nimi furgonetka.

- Ale powiedzcie mi - pytał w zamyśleniu Pete - czy da się kopać wewnątrz kamiennej wieży albo stojącego na wodzie hangaru? Tam - kamienie, tu - woda!

- W hangarze jest może wystarczająco duży kawał suchej ziemi, żeby mogła się w nim zmieścić furgonetka - zauważył Jupiter. - Bob ma rację, idziemy. Musimy koniecznie tam zajrzeć.

- Powoli, nie spieszmy się tak - ostrzegł przyjaciół Bob. - Ten Joshua Evans był na mnie wczoraj strasznie zły za to, że naruszyłem jego prywatne tereny. Może lepiej poczekajmy na kapitana Joya.

Jupiter westchnął ciężko.

- Tak, chyba tak zrobimy.

- Ale Evansa nie ma w wieży - stwierdził Pete. - Jadąc tu widziałem go na parkingu przed bramą. Gdzieś pojechał.

- W takim razie - wykrzyknął Jupiter - idziemy natychmiast!

Biegnąc między drzewami chłopcy zauważyli, że kapitan Joy stoi na pokładzie swego stateczku i mówi coś do zbitych w małą grupkę turystów, spoglądając co pewien czas na zegarek. Anna siedziała nadal w kasie biletowej przy wejściu. Chłopcy postanowili zajrzeć najpierw do hangaru. Prowadzące do wnętrza od strony lądu szerokie drzwi nie były zamknięte na kłódkę. Tuż za nimi znajdowało się obszerne pomieszczenie z drewnianą podłogą, na której z powodzeniem mogła się zmieścić nieduża furgonetka. Nie znaleźli jednak żadnych śladów opon ani plam po jakichś przypadkowych kroplach oleju. W głębi

ujrzeli ciemną powierzchnię wody, a po obu bokach znajdowały się stanowiska dla niedużych łodzi. W tej chwili nie było jednak ani jednej łódki. Od strony zatoki hangar kończył się zamkniętymi wrotami, wiszącymi tuż nad powierzchnią wody. Górną część hangaru zajmował rodzaj poddasza, biegnącego przez całą jego długość, na którym widać było jakieś maszty, zwoje lin i zrolowane żagle. Spod drewnianej podłogi dochodził cichy plusk uderzającej o nią wody. Nigdzie ani śladu miejsca, w które można by było wbić łopatę.

Śladów kopania nie było także na zewnątrz, między hangarem i wieżą.

- Słuchaj, Pete - zwrócił się do Drugiego Detektywa Jupiter. - Staniesz na czatach tam, między drzewami. Tu masz walkie-talkie, razem z plecakiem. Gdybyś zobaczył, że Joshua Evans wraca, daj nam znać. Będziemy przez cały czas na odbiorze.

Podchodząc do wieży, Jupiter obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Najniższa kondygnacja miała dwoje drzwi i kilka otworów okiennych. Pierwsze i drugie piętro miały tylko po jednym maleńkim okienku. Za to najwyższe było oszklone niemal w całym obwodzie, niczym latarnia morska. Pomiędzy oknami widać tam było wystające na zewnątrz, przypominające stopnie kamienie, prowadzące na płaski dach.

Jupiter pchnął frontowe drzwi do wieży. Były otwarte. Tuż za nimi znajdował się mały living-room. Przypominał większość tego rodzaju saloników, jakie chłopcom zdarzało się widywać, ale z powodu zaokrąglonej ściany, podobny był do dużego kawałka tortu. Po prawej stronie znajdowało się wejście do mającej taki sam kształt sypialni, po lewej - do kuchni. Drugie wyjściowe drzwi znajdowały się w kuchni i były zaryglowane od wewnątrz. Tam też zaczynały się przylepione do wewnętrznej ściany drewniane schody, prowadzące w dół, do piwnicy. Również w kuchni, w przeciwległej ściance działowej, bliżej środka wieży, znajdowały się drzwi do małego pomieszczenia przypominającego kształtem szyb, w którym stała drabina prowadząca na pierwsze piętro.

- Spróbujemy zbadać najpierw piwnicę - zdecydował Jupiter.

Podniszczonymi, skrzypiącymi schodami obaj chłopcy zbiegli do ciemnego lochu. Jupiter zaczął po omacku szukać kontaktu.

Mała, zawieszona pod sklepieniem żarówka dawała niewiele światła, ale wystarczało ono, aby mogli rozejrzeć się po nisko sklepionym, półkolistym wnętrzu, mającym gołe, kamienne ściany i ubitą ziemię zamiast podłogi. Ziemia była gładka i twarda niczym cementowa posadzka, zaś warstwa suchego kurzu na ścianach wskazywała, że nikt ich nie dotykał przynajmniej przez ostatnie sto lat.

- Nie widać, żeby tu ktoś kopał - powiedział Bob.

- Rzeczywiście, nie wygląda na to - zgodził się niechętnie Jupiter.

Znajdujące się w kamiennym przepierzeniu drzwi otworzyły się na spiżarnię, wypełnioną starymi, masywnymi regałami, pokrytymi grubą warstwą kurzu. Chłopcy pochylili się, aby obejrzeć podłogę. I tu nie znaleźli jednak żadnych okruchów świeżej ziemi.

- Nikt na pewno nie kopał ostatnio w tym lochu - powiedział w końcu Bob.

Jupiter kiwnął głową i westchnął. Na jego twarzy malowało się zniechęcenie.

- Pchhhhhhhrrr!

Chłopcy odwrócili się jak na sprężynach. Przed nimi stał Purpurowy Pirat! Jego uniesiony w górę kordelas połyskiwał blado w piwnicznym półmroku.

- Hej, panie Davis! - powiedział z niewinną miną Bob. - To znowu my.

Purpurowy Pirat nie odpowiedział. Stał bez ruchu, wpatrując się w nich świecącymi w otworach szkarłatnej maski oczami.

- Panie Davis, czy to pan? - zapytał Jupiter.

Purpurowy Pirat uniósł wyżej swój kordelas i ruszył na nich, wymachując długim ostrzem. Bob błyskawicznie dał nura w bok, wciskając się za stojący tam masywny kufer, Jupiter schował się za jakimś wielkim, starym fotelem. Bob zdążył jeszcze podstawić nogę przebranemu za pirata napastnikowi, który pośliznął się i rozciągnął jak długi między dwiema dębowymi ławami, ustawionymi na środku spiżarni.

Nie tracąc ani ułamka sekundy. Jupiter i Bob wyskoczyli ze swych kryjówek i pognali po schodach do kuchni. Nagle usłyszeli przyciszony głos Pete'a.

- Alarm! Evans wraca do wieży! Wiejcie, chłopaki!

Tylne drzwi wejściowe zaryglowane były na głucho przy pomocy jakichś grubych sztab. Z piwnicy dochodziły chłopców odgłosy dudniących już po schodach buciorów Purpurowego Pirata, kimkolwiek mógł być naprawdę. A gdyby rzucili się do stojącego otworem wyjścia, wpadliby prosto na wracającego do siebie Evansa.

Wszystkie drogi ucieczki były odcięte!

Rozdział 15

W pułapce!

Przyczajony między drzewami, w pierzchającej już mgle Pete pochylił się znowu nad nadajnikiem.

- Alarm! Evans wraca, chłopaki! Uciekajcie!

Odpowiedziało mu milczenie. Obejrzał się szybko w kierunku Joshuy Evansa, który maszerował właśnie raźno od bramy w kierunku pasa drzew. Pozostała już tylko chwila, w której obaj chłopcy mogliby się wymknąć nie zauważeni.

- Szefie! Bob! Alarm! Wyłaźcie jak najprędzej!

Zobaczył, że drzwi do wieży zaczynają się otwierać! Gdyby wyszli teraz, mogło się im jeszcze udać! Wpatrzony w poszerzającą się szczelinę Pete aż zamrugał z podniecenia. Nikt się w niej jednak nie ukazał! Drzwi zdawały się otwierać pod własnym ciężarem, tak jakby Jupiter i Bob zapomnieli porządnie je zamknąć. W chwilę potem Pete zobaczył w nich czarnego kota. Uchyliwszy jedno skrzydło, sprytny zwierzak wyszedł na dwór i pobiegł w kierunku plaży. Jupiter i Bob zostali w środku.

Pete jeszcze raz uniósł walkie-talkie i zaczął desperacko szeptać do mikrofonu:

- Bob! Jupe! Evans jest już...

- Gdzie jest Evans, pętaku?

Pete odwrócił się. Tuż nad nim pochylała się rozwścieczona twarz Evansa!

- Więc to tak, znowu się tu włóczycie mimo mojego ostrzeżenia! Za czym tu węszycie, u wszystkich diabłów? I z kim ty rozmawiasz przy pomocy tej śmiesznej zabawki?

Pete zdrętwiał.

- Szukamy tylko miejsca, gdzie oni kopali, proszę pana - zaczął dławiącym się głosem. - To znaczy, przypuszczamy, że oni szukają może jakiegoś skarbu... Który gdzieś tu jest zakopany... Zaglądaliśmy już prawie wszędzie. Szef wpadł z Bobem na pomysł, że znajduje się on być może w pańskiej wieży. Stałem więc tu na... na...

- Na czatach - dokończył Evans, spoglądając w kierunku uchylonych drzwi. - Powiadasz, że oni gdzieś tu kopią - dodał po chwili, świdrując Pete'a swymi czarnymi oczami. - Ale kim są ci "oni"?

- Oni? - powtórzył całkowicie speszony Pete.

- Ludzie, którzy czegoś tu szukają. Ci... kopacze.

- Och - odparł Pete. - To Karnes i jego banda. Hubert, Carl i ten łysy, Santos.

Przez twarz Evansa przeleciał cień zaniepokojenia. Właściciel wieży jeszcze raz obrzucił swe domostwo ukradkowym spojrzeniem.

- Ale nie znaleźliście dotąd miejsca, w którym oni kopią?

- Nie - przyznał Pete. - Szukaliśmy wszędzie, z wyjątkiem...

W głośniku jego aparatu ozwało się nagle ciche sapnięcie. Tak, jakby ktoś po drugiej stronie z trudem łapał powietrze. Pete nastawił uszu.

- Jupe? Bob?

Z nadajnika popłynął bardzo przyciszony głos Jupitera.

- Ktoś jest w wieży, Pete, i chce nas złapać! Wydostaliśmy się z piwnicy, ale nie mogliśmy wyjść frontowymi drzwiami, bo Evans na pewno by nas zobaczył, a ponieważ tylne drzwi są zablokowane, pozostała nam jedynie droga na górę! Jesteśmy teraz na pierwszym piętrze. Jest tu tylko parę starych kufrów i skrzyń. - Jupiter na moment zawiesił głos. - Idzie na górę! Musimy uciekać wyżej!

Po tych słowach nadajnik zamilkł.

Przyczajeni na pierwszym piętrze Jupiter i Bob przysłuchiwali się powolnym, ciężkim stąpaniem tajemniczego prześladowcy, wspinającego się po drabinie. Mężczyzna pomrukiwał coś do siebie, ciężko łapiąc oddech.

- Prędko! - powiedział Jupiter.

Ostrożnie, na czubkach palców obaj chłopcy podbiegli do ledwo widocznej w padającym od jedynego maleńkiego okienka świetle drabiny, opartej o przeciwległą ściankę. Szybko wspięli się po niej, jedynie Jupiter lekko się zasapał na ostatnich szczeblach. Drugie piętro było tak samo przyciemnione jak i pierwsze. Stało tu kilka starych beczek i drewnianych skrzyń, które wyglądały tak, jakby ktoś umieścił je tu przynajmniej sto lat temu. Chłopcy przysiedli na nich i zaczęli nasłuchiwać. Z dołu dochodziły ich odgłosy ciężkiego stąpania mężczyzny w stroju Purpurowego Pirata.

- Jak myślisz, Jupe, kto to może być? - szepnął Bob. - To znaczy, jeżeli to nie jest Sam "Solniczka".

- A jeśli to jest Sam - odpowiedział pytaniem Jupiter - to dlaczego nas zaatakował?

Przez chwilę przysłuchiwali się powolnym krokom nieznajomego.

- Słuchaj, Bob! - odezwał się nagle Jupiter. - Nie wydaje mi się, żeby ten facet, bez względu na to kim by nie był, w ogóle ścigał nas w tej chwili! Przypuszczam, że on po prostu przeszukuje wieżę.

- Ale przecież z całą pewnością wypędził nas z piwnicy!

- To prawda - przyznał Jupiter - ale teraz wcale nie zachowuje się tak, jakby chciał nas złapać. A nawet przeciwnie, sprawia wrażenie, jakby nie wiedział nawet, że tu jesteśmy. Tak jakby był pewien, że wymknęliśmy się na dwór.

- Może to jest sam Karnes? - podsunął Bob.

Jupiter potrząsnął przecząco głową.

- Facet, którego widzieliśmy na dole, jest o wiele wyższy od Karnesa, ale sporo niższy od Huberta. Mógłby to być któryś z dwóch pozostałych, Carl albo Santos. Możemy być pewni tylko tego, że nie jest to Joshua Evans, który w tej chwili znajduje się na dworze.

Bob przytaknął koledze skinieniem głowy.

- Jupe! On zaczyna tu włazić!

Prowadząca na trzecie piętro drabina kończyła się pod zapadowymi drzwiami. Chłopcy unieśli je i znaleźli się na zalanym światłem trzecim piętrze. Ostatnia kondygnacja miała najmniejszą średnicę, ale ze wszystkich stron wyposażona była w okna. Opuściwszy szybko klapę, chłopcy podeszli do jednego z nich. Wychodziło ono na zatokę i oczekującego wciąż na cumach na pierwszy tego dnia rejs “Czarnego Sępa”. Poprzez pierzchające pod promieniami słońca ostatnie strzępy mgły widać było

Ciemny przestwór oceanu.

- Jupe - odezwał się Bob. - Co zrobimy, jeżeli on wejdzie aż tu?

Widoczna z okien ziemia znajdowała się daleko w dole, nie było żadnej możliwości zejścia po zewnętrznej stronie muru. W oświetlonym jasno pomieszczeniu nie było mebli ani miejsca, które nadawałoby się na kryjówkę. Była tylko klapa nad prowadzącymi w dół schodami i płaski dach nad głowami chłopców.

- Nie mam pojęcia - odparł Jupiter, którego głos zadrżał nagle, jakby w przypływie strachu. - Musimy jednak coś zrobić, bo właśnie usłyszałem, że zaczął wchodzić po drabinie!

- On... on rzeczywiście tu idzie! - wyjąkał przerażony Bob.

Stojący nadal w cieniu dębów Pete i Joshua Evans wpatrywali się w wieżę w oczekiwaniu, że milczący odbiornik odezwie się znowu.

- Może powinniśmy iść tam i zobaczyć, co się z nimi dzieje - powiedział Pete.

- Jak masz na imię, chłopcze? - spytał nie zdradzającym poddenerwowania głosem Evans.

- Pete. Pete Crenshaw.

- Posłuchaj, Pete, nie wiemy, kto jest tam w środku, nie mamy też pewności, że ten ktoś jest sam. Przebywa on w jakimś miejscu leżącym między nami i twoimi kolegami.

Moglibyśmy narazić ich więc na większe niebezpieczeństwo niż to, w jakim znajdują się w tej chwili.

- Chy... chyba ma pan rację. Ale co będzie, jeżeli...

Evans wskazał ręką czubek wieży.

- Patrz tam, na te najwyższe okna!

Pete uniósł głowę we wskazanym kierunku i zobaczył, że Bob i Jupiter wyglądają z jednego z nich. Zaczął biec wymachując rękami, ale Evans pociągnął go do tyłu tak, że jego dwaj koledzy nie zauważyli go.

- Ostrożnie, Pete - ostrzegł go przyciszonym głosem Evans. - Chyba nie chciałbyś zwrócić czyjejś uwagi na twoich przyjaciół?

Pete przełknął ślinę i milcząco kiwnął głową. Evans ścisnął go za ramię i znowu wskazał okna na czubku wieży. Bob i Jupiter gdzieś znikli, na ich miejscu Pete zobaczył purpurową maskę i czarne wąsiska, purpurowy piracki kapelusz z piórkiem i lamowany złotem, purpurowy płaszcz! Na najwyższym piętrze kamiennej wieży stał Purpurowy Pirat!

- Czy oni mogą gdzieś tam się ukryć? - spytał drżącym szeptem.

- Nie, Pete, nigdzie. Nie ma tam żadnego schowka ani szafy, nie ma dosłownie nic. Znaleźli się w pułapce!

Rozdział 16

Jupiter nie poddaje się

Pete i Evans przypatrywali się pogrążonej w ciszy baszcie. Sylwetka Purpurowego Pirata znikła gdzieś w jej wnętrzu, w pustych oknach przeglądało się już tylko południowe słońce. Joshua Evans westchnął.

- Na pewno ich złapał, co, Pete?

- W takim razie musimy ich odbić! - wykrzyknął Drugi Detektyw.

- Spokojnie, synku - powiedział Evans. - Jakaś nieprzemyślana akcja mogłaby tylko pogorszyć sprawę. Myślę, że gdybyśmy...

- Pete? Czy on poszedł? - ozwał się w głośniku nierealny, widmowy szept. - Widziałeś go?

- Szefie, to ty? Gdzie jesteście?

- Ciągle na czubku wieży - odparł pełniejszym głosem Jupe. - Popatrz w górę, to nas zobaczysz.

Evans i Pete znowu spojrzeli ku górnym oknom wieży. Nie zobaczyli nikogo!

- Szefie, nie widzimy żadnego z was!

Jupiter zaśmiał się cicho.

- Popatrz wyżej, Pete. Nad oknami.

Pete jeszcze raz uniósł głowę i zobaczył dwie uśmiechnięte twarze tuż nad krawędzią płaskiego dachu wieży! Jupe'owi i Bobowi udało się jakimś cudem wyjść którymś z okiem i wdrapać się na dach starej wieży, wznoszący się cztery kondygnacje nad ziemią.

- Jak się tam dostaliście? - zapytał Pete.

- Problem polega na tym, jak stąd zejdziemy! - odparł z cichym jęknięciem Jupiter.

Do rozmowy włączył się Bob.

- Pete, powiedziałeś wcześniej "widzimy". Kto jest tam z tobą na dole?

- Pan Evans - wyjaśnił Pete. - Ale nic się nie przejmujcie, chłopaki, on jest w porządku.

Joshua Evans pochylił się nad nadajnikiem Pete'a.

- Pete powiedział mi już, czym wasza paczka się zajmuje. Chciałbym zadeklarować wam pomoc w wyświetleniu tego, co tu się właściwie dzieje. Czy według was dwóch Purpurowego Pirata nie ma już w wieży?

- Słyszeliśmy, jak schodził na drugie piętro - powiedział Bob. - Zdawało się nam, że

zlazł aż na dół, ale nie jesteśmy tego pewni.

- Miejmy nadzieję, że tak - odparł Evans. - Ale lepiej będzie to sprawdzić. Zaczekajcie tam na górze.

Evans i Pete ostrożnie podeszli do frontowych drzwi wieży. Ze środka nie dochodziły żadne podejrzane szmery. Tylne wejście nadal zaryglowane było od wewnątrz. Gdyby pirat opuścił wieżę frontowymi drzwiami, Evans i Pete dostrzegliby go z pewnością. Zaintrygowani, sprawdzili najpierw mroczną piwnicę, a potem pierwsze i drugie piętro. Nigdzie nie było śladu po tajemniczym mężczyźnie w stroju Purpurowego Pirata. Evans i Pete wspięli się na najwyższe piętro. W chwilę potem roześmiany Bob zeskoczył do środka z parapetu jednego z tylnych okiem.

- A gdzie Jupe? - spytał Pete.

- Ciągle na dachu - odparł ze śmiechem Bob. - Mówi, że sam nie da rady zejść stamtąd, a ja na pewno nie mam tyle siły, aby go znieść.

- Ale w jaki sposób zdołaliście się tam dostać? - zdziwił się Evans.

- Pokażę panu - powiedział Bob, a potem wychylił się za parapet okna, którym dopiero co wchodził do środka. - Widzi pan?

Pete i Evans wyjrzeli na zewnątrz. Tuż obok okna zobaczyli ciąg położonych jeden nad drugim, wystających ze ściany kamieni. Chwytając się ich i opierając na nich stopy, można było wydostać się aż na dach.

- Pańscy przodkowie musieli przecież mieć jakiś sposób, żeby dostać się na dach - stwierdził Bob.

- Tą drogą Jupe wszedł na górę? - wykrzyknął Pete, wpatrując się z rozdziawionymi ustami w kamienne stopnie.

Bob uśmiechnął się.

- Kiedy Purpurowy Pirat zaczął włazić na trzecie piętro, została nam tylko ta droga ucieczki. Gdy człowiek ma porządnego stracha, stać go na dużo więcej niż w normalnej sytuacji. Ale w tej chwili nikt nas nie goni, więc Jupe mówi, że za nic w świecie nie zejdzie po tej ścianie na dół.

- Zupełnie jak mój kot Czarnobrody, kiedy wejdzie na drzewo - wtrącił Evans. - Bez kłopotów drapie się do góry, ale trzeba wzywać straż pożarną, żeby go stamtąd ściągnąć.

- Może trzeba będzie wezwać strażaków także do Jupe'a - powiedział chichocząc Pete.

- Myślę, że wystarczy kawałek mocnej liny - stwierdził Bob. - Ma pan tu w wieży coś takiego, panie Evans?

- Na pewno tak. Zaraz przyniosę.

W chwilę potem Evans wrócił z liną w ręce. Bob i Pete szybko wspięli się na dach, zabierając ją ze sobą. Jupiter spokojnie przyglądał się zatoce, teraz już zalanej potokami słonecznego światła. Zdawał się skupiać całą uwagę na "Czarnym Sępie", żeglującym wzdłuż łańcucha wysepek, w swym pierwszym tego dnia, znacznie opóźnionym rejsie. Większa niż zwykle, właśnie dzięki opóźnieniu, grupa turystów stała na pokładzie obserwując odgrywany przez Jeremy'ego i Sama Davisa napad piratów.

- Jak myślicie - zapytał Pierwszy Detektyw, kiedy Bob i Pete podeszli do niego - ktoś mający na nogach ciężkie buty z cholewami powinien narobić hałasu schodząc po drewnianych schodach, prawda?

- Chyba tak - powiedział Pete.

- I to mnóstwo hałasu - dodał Bob, zajęty rozwijaniem liny.

Jupiter kiwnął głową.

- A ty, Pete, nie zauważyłeś, aby ktoś wchodził albo wychodził frontowymi drzwiami?

- Nie, widziałem tylko kota. - I Pete opowiedział kolegom, jak to w chwilę po pojawieniu się pana Evansa, kot uchylił sobie drzwi i wyszedł na dwór. - Na pewno zapomnieliście zatrzasnąć je za sobą.

- To wyjaśnia, dlaczego Purpurowy Pirat był pewien, że uciekliśmy frontowymi drzwiami - powiedział w zamyśleniu Jupiter. - Facet myślał, że na dobre wystraszył nas z wieży.

- Na szczęście dla nas był w środku ten kot - odezwał się Bob.

- Szczęście, moi kochani - oświadczył z zadowoloną miną Jupiter - polega na tak precyzyjnym zaplanowaniu wszystkiego, aby można było obracać na swoją korzyść to, co się potem dzieje. - Po chwili dodał z uśmiechem: - Ale czasami szczęście rzeczywiście może być pomocne, jeżeli się wie, jak z niego korzystać.

- A skoro wspomniałeś o korzystaniu z pomocy, Jupe - wtrącił Pete - to czy jesteś gotów do zejścia z dachu?

- Nie ma mowy, żebym zszedł tą samą drogą, którą wszedłem - oświadczył lider dzielnej trójki. - Nie bardzo wiem, jak się tu dostałem, ale nie mam żadnych złudzeń co do możliwości powrotu. Jeżeli chcecie, mogę tu zostać na stałe. Poprosicie tylko ciocię Matyldę i wujka Tytusa, żeby mi tu podrzucili moje łóżko i coś do żarcia!

- Moglibyśmy wezwać helikopter - powiedział Bob - ale myślę, że wystarczy kawałek dobrej linki.

- Linki? - wrzasnął Jupiter. - Uważasz, że jestem podobny do Tarzana?

- Nie - wyjaśnił Bob. - Zwyczajnie obwiążemy cię linką, a potem będziemy cię asekurować w czasie schodzenia, żebyś nie zleciał na dół.

Jupiter obejrzał linę, a potem wyjrzał poza krawędź dachu.

- No dobra - stwierdził z lekkim wzdrygnięciem - zdaje się, że nie ma innego wyjścia, jeżeli nie chcecie, żebym spędził tu resztę życia. Wiąż, Pete, byle mocno.

Bob i Pete solidnie obwiązali Jupitera pod pachami, a potem chwycili mocno linę, zapierając się stopami o niski występ, biegnący wzdłuż całego obwodu krawędzi dachu. Jupiter przyklęknął twarzą do nich. Wziąwszy głęboki oddech, opuścił nogi wzdłuż ściany i wyszukując na ślepo niewielkie stopnie, zaczął schodzić w dół. W chwilę potem Joshua Evans pomógł mu przeskoczyć przez parapet okna. Zaraz po nim tę samą drogę pokonali Pete i Bob. Znalazłszy się w komplecie w środku, chłopcu rzucili się do włazu, aby czym prędzej zejść na parter.

- Myślisz, że Purpurowy Pirat chciał nas tylko wykurzyć na dwór? - zapytał Jupe'a Bob.

- Tak, jestem o tym przekonany.

- Powiedz mi, Jupe - odezwał się Joshua Evans - czy domyślasz się, kto to mógł być?

- W każdym razie, proszę pana, nie mógł to być Karnes, który jest dużo niższy. A z kolei ten jego pomocnik, Hubert, jest o wiele za wysoki. W pierwszej chwili brałem mocno pod uwagę pana, ponieważ ma pan mniej więcej ten sam wzrost. Ale pan był przecież na dworze, razem z Pete'em.

- Miałem, jak widać, szczęście - stwierdził z uśmiechem Evans.

- Ta okoliczność wyklucza pana z całą pewnością - powiedział to z dziwnie poważną miną Jupiter. - Podobnie jak Karnesa i Huberta. Ale tym piratem mogłaby być prawie każda z pozostałych osób. Trudno jest określić rzeczywisty wzrost i budowę kogoś, kto ma na sobie taki kostium.

- W każdym razie jesteś pewien, że on chciał was tylko wypędzić na dwór - ciągnął Evans. - Jak myślisz, dlaczego?

- Aby móc spokojnie poszukać w wieży czegoś, co według niego gdzieś tu jest ukryte.

- Ukryte, Jupe? - odezwał się Bob. - Byłeś pewien, że Karnes i jego kamraci szukają w ziemi skarbu czy czegoś takiego.

- Ale teraz doszedłem do przekonania, że to, czego szukają, nie jest zakopane w ziemi, ale zwyczajnie gdzieś ukryte.

- O rany, Jupe - wykrzyknął Pete - w takim razie po jakie licho oni kopią?

- Myślę - odparł Jupiter - że jeżeli zejdziemy jeszcze raz do piwnicy, będę mógł

powiedzieć wam dokładnie, gdzie Karnes kopie i dlaczego to robi!

Rozdział 17

Niespodziewane odkrycie

Kroki zbiegających po drewnianych schodach chłopców zadudniły głośnym echem w niskim, mrocznym wnętrzu piwnicy.

- Pamiętasz, Bob - zapytał Jupiter - w którym momencie usłyszeliśmy po raz pierwszy, że Purpurowy Pirat skrada się tu, na dole, za naszymi plecami?

- Oczywiście. Znajdowaliśmy się wtedy tam, w głębi spiżarni. Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy go dopiero wtedy, gdy warknął coś w naszym kierunku.

- Dokładnie tak było - powiedział Jupiter. - A więc pierwszym w ogóle dźwiękiem, jaki usłyszeliśmy, było to jego warknięcie za naszymi plecami. Ale dopiero co słyszeliśmy wszyscy, jaki powstaje hałas, kiedy się schodzi po tych drewnianych schodach. Dlaczego nie usłyszeliśmy, jak schodził po nich w swoich ciężkich buciorach Purpurowy Pirat?

- Może skradał się na czubkach palców, najciszej, jak tylko mógł - powiedział Bob.

- Nie wydaje mi się - stwierdził Jupiter - aby to było możliwe na tych obluzowanych i trzeszczących stopniach. Ale mam jeszcze jedno pytanie, tym razem do ciebie, Pete. Dlaczego nie ostrzegłeś nas, kiedy Purpurowy Pirat wchodził do wieży?

- Ponieważ nie widziałem żadnego Purpurowego Pirata.

- No właśnie - tym razem głos Jupitera zdradzał lekkie poirytowanie. - Ty nie zauważyłeś, aby ktokolwiek wchodził do wieży, ja i Bob nie słyszeliśmy odgłosów schodzenia po schodach do piwnicy, a w dodatku tylne wejście od kuchni było zaryglowane od wewnątrz. Wiem o tym, ponieważ była to pierwsza rzecz, jaką sprawdziłem.

- A więc, szefie? - spytał Pete. - Co to wszystko może oznaczać?

- To oznacza - oświadczył Jupiter, jak zwykle zawieszając głos dla uzyskania większego efektu - że Purpurowy Pirat, który nas zaatakował, nie dostał się do piwnicy, schodząc po schodach z parteru, ani też nie korzystał z żadnych drzwi wejściowych, żeby się tu znaleźć.

- Ale nie ma przecież innej drogi do wieży, ani potem tu, do piwnicy - powiedział Bob.

- Musi istnieć jakieś inne wejście - stwierdził z naciskiem Jupiter.

- Musi być jakiś sposób na dostanie się do wieży i do piwnicy wprost z zewnątrz. Dlatego właśnie Karnes i jego ludzie gdzieś tu kopią!

- Kopią tunel do tej piwnicy! - wykrzyknął Bob.

- Nie tyle kopią - poprawił go Jupiter - ile najprawdopodobniej naprawiają i czyszczą. Pamiętacie, jak to sto lat temu prawdziwy Purpurowy Pirat znikał stąd w cudowny sposób? Musiał mieć do dyspozycji tunel, którym mógł wydostawać się z wieży. Gdzieś tu, w tej piwnicy, musi zaczynać się stary tunel, prowadzący do wyjścia na zewnątrz.

- Jupiter absolutnie ma słuszność, chłopcy - odezwał się Joshua Evans. - W tej piwnicy rzeczywiście zaczyna się tunel. A w każdym razie z pewnością kiedyś istniało coś takiego. Ale przypuszcza się, że wiele lat temu ten tunel się zawalił. Tyle że, jeśli o mnie chodzi, nigdy nie miałem pewności, w którym miejscu on się znajdował.

- A więc rozejrzyjmy się za nim - wykrzyknął Pete.

Cała czwórka rozbiegła się po piwnicy, aby zbadać jej stare kamienne ściany. Chłopcy zaczęli je ostukiwać znalezionymi na miejscu kawałkami desek i jakichś rurek, zwracając szczególną uwagę na każdy ślad w postaci obluzowanych kamieni czy ukrytych zawiasów.

- Sprawdźcie, czy nie ma na podłodze odcisków jego butów - poinstruował kolegów Jupiter.

Ubita, sucha glina na dnie piwnicy była jednak zbyt twarda, aby mogły się na niej odbić jakiekolwiek ślady.

- Mam! - wykrzyknął w pewnej chwili Joshua Evans.

Trzymaną w ręku rurką Evans postukał w kilka sąsiadujących ze sobą kamieni. W jednej chwili chłopcy zbili się wokół niego w ciasną gromadkę. Niemal dokładnie naprzeciwko schodów ściana wydawała ledwo uchwytny, głuchy odgłos. Wydawało się, że po jej drugiej stronie musi znajdować się pusta przestrzeń. Jednak mimo iż chłopcy starali się przyjrzeć ścianie z jak najmniejszej odległości, nigdzie nie mogli natrafić na jakąś szczelinę czy obluzowany kamień. Jupiter powoli lustrował mroczną piwnicę.

- Tunel był pomyślany jako sekretna droga ucieczki, więc prowadzące do niego drzwi musiały być dobrze ukryte. Powinny jednak otwierać się z tej strony, i to bez większego wysiłku. Jeżeli tunel miał w ogóle spełnić swoją rolę, to Purpurowy Pirat musiał zapewnić sobie możliwość szybkiego wejścia do niego. Pewno zorganizował to jakoś tak, aby zbiegłszy ze schodów mógł błyskawicznie otworzyć wejście. Przyjrzyjmy się dobrze tym schodom.

Chłopcy rzucili się do badania drewnianych stopni, a także ściany pod schodami i tuż nad nimi. Wreszcie Pete odkrył mały żelazny krążek, wystający ze ściany pod jednym ze schodów. Pociągnął za krążek i stwierdził, że ze ściany wysuwa się niewielki, płaski kamień. Tuż za nim chłopcy ujrzeli dobrze nasmarowaną, żelazną dźwignię. Kiedy Pete ją nacisnął, położony naprzeciwko schodów fragment ściany odsunął się bezgłośnie!

- A to historia! - wykrzyknął Joshua Evans. - Tyle czasu tu mieszkam i nie

wiedziałem, że mam tu takie sekretne wyjście!

Pan Evans przyniósł ze spiżarni leżącą tam latarkę i poprowadził chłopców do wnętrza wąskiego, mieszczącego tylko jedną osobę tunelu, na tyle jednak wysokiego, aby Pete mógł nim iść prawie się nie schylając. W ścianie tunelu, tuż przy wejściu, znajdowała się jeszcze jedna dźwignia.

- Na pewno służy ona do otwierania i zamykania wejścia z wnętrza - zauważył Jupiter.

Ciasny korytarz miał kamienne sklepienie i ściany, ale pod nogami idących znajdowała się ubita ziemia. Przez całą jego długość dno usłane było kamieniami odpadłymi od ścian i sufitu. Po około dwudziestu metrach przejście zatarasowane było zawałem.

- Ojciec mówił mi, że tunel zapadł się, jeszcze zanim przyszedłem na świat - powiedział Joshua Evans. - Prawdopodobnie w czasie któregoś z wielkich trzęsień ziemi.

Tunel nie był jednak całkowicie zablokowany. W górnej części rumowiska przekopane było przejście, którym mógł przepełznąć na drugą stronę nawet jakiś rosły mężczyzna. Chłopcy przedostali się przez nie pojedynczo, ich śladem poszedł też Evans. Dalsze partie mrocznego wnętrza także nie były oczyszczone z odpadłych od sklepienia kamieni. Wreszcie, po następnych mniej więcej dwudziestu metrach, tunel kończył się zaporą z czterech z grubsza ociosanych, potężnych bali, spojonych zardzewiałymi, żelaznymi sztabami. Pionowe bale przymocowane były na dole za pomocą zawiasów do wkopanej w ziemię, poprzecznej belki, i zabezpieczone w pozycji stojącej dwiema mosiężnym zasuwami, wchodzącymi po obu stronach w odpowiednie wycięcia w bocznych belkach, pełniących rolę jakby futryn.

Pete i Bob odsunęli zasuwy i ciężka konstrukcja osunęła się niczym zwodzony most. W świetle latarki Evansa zajaśniała przed nimi ciemna powierzchnia wody! Wydawało się, jakby tunel prowadził dalej, mając ściany i sufit wykonane z drewna oraz dno zalane wodą.

- Jesteśmy w tym starym hangarze, pod pomostem! - krzyknął nagle Jupiter.

- Do pioruna, masz rację, chłopcze! - powiedział Joshua Evans.

- Trzeba płynąć, żeby wydostać się na zewnątrz - dodał Bob.

- Och, prawdopodobnie jest tu wystarczająco płytko, żeby dało się przejść - powiedział Pete, który przypomniał sobie właśnie swą przygodę ze skokiem z pomostu sąsiedniej przetwórni i zaczerwienił się w ciemności po same uszy.

- Powinniśmy zamknąć za sobą wejście do tunelu - powiedział Jupiter. - Nie chcemy chyba, żeby Karnes czy ktoś inny dowiedział się, że je znaleźliśmy?

Bob i Pete unieśli ciężką konstrukcję i umocowali ją, przesuwając zasuwy dzięki wystającym na tę stronę drewnianym kołkom.

- O rany - powiedział Bob. - Nic dziwnego, że nie zauważyliśmy tych drzwi wcześniej. Kto by powiedział, że te cztery dechy nie stoją tam po to, aby podtrzymać konstrukcję pomostu!

Uporawszy się z tym, cała czwórka ruszyła brodząc w płytkiej wodzie, a potem wydostała się na drewniany pomost wewnątrz mrocznego hangaru, do którego sączyła się tylko odrobina światła przez szczeliny w ścianach i jedyne, zakurzone okienko od strony morza. Kiedy przez szerokie drzwi wychodzili już na zewnątrz, Jupiter z zamyśloną miną obejrzał się przez ramię.

- Bob miał rację. Rzeczywiście, nie było szansy, aby ktoś odkrył ten tunel przez przypadek. Co oznacza, że major Karnes musiał wiedzieć nie tylko o jego istnieniu, ale być może także znał jego położenie.

- Pamiętasz tę kartkę, którą oglądał na zapleczu sklepu? - przypomniał mu Bob. - Założę się, że była to mapa, na której zaznaczono tunel.

- Bardzo możliwe - zgodził się Jupiter.

Mała grupka wolnym krokiem minęła pas wiecznie zielonych dębów i podeszła do "Czarnego Sępa", który wrócił właśnie z pierwszego tego dnia rejsu. Kapitan Joy, Jeremy i Sam "Solniczka" wciąż znajdowali się na pokładzie. Kapitan zaniepokoił się na widok Joshuy Evansa maszerującego razem z Trzema Detektywami.

- Uprzedziłem chłopców, żeby nie zbliżali się...

Pan Evans uśmiechnął się.

- Wszystko w porządku, Joy. Teraz wiem już, czym ci chłopcy się zajmują. Zdaje się, że i mnie, nie mniej niż innym, powinno zależeć na rozwikłaniu zagadki tego...

- ...Karnesa, proszę pana - podpowiedział Jupiter, a potem zwrócił się do kapitana Joya. - O której rozpoczął pan dziś pierwszy rejs, panie kapitanie?

- Jakieś trzy kwadranse temu - odparł kapitan, rzucając surowe spojrzenie Davisowi, który kręcił się w miejscu z niewyraźną miną, jakby miał zamiar dać drapaka. - Z powodu Sama. Nie było go tak długo, że musieliśmy w końcu wyruszyć bez niego. Na szczęście w ostatniej chwili zdążył przedostać się na pierwszą wyspę.

Pete nie był już w stanie powstrzymać się od przechwałek dzisiejszymi sukcesami:

- Panie kapitanie, znaleźliśmy miejsce, w którym kopał Karnes i jego ludzie! I wiemy już, dlaczego odciągał stąd pana i Jeremy'ego. Widzieliśmy tunel, który łączy wieżę z tym starym hangarem! Oni pracowali przy jego oczyszczaniu!

Chłopcy opowiedzieli kapitanowi o wszystkim, co wydarzyło się tego ranka, łącznie z ucieczką przed człowiekiem przebranym za Purpurowego Pirata.

W pewnym momencie Jupiter zwrócił się do Sama Davisa:

- Dlaczego tak się pan dzisiaj spóźnił?

- Nie mogłem uruchomić samochodu, jeżeli tak cię to interesuje, przyjacielu - odparł nie speszony żeglarz. - Przyjechałem tak późno, że musiałem biegiem pędzić na te cholerne wysepki.

- Panie kapitanie, gdzie pan przechowuje strój Purpurowego Pirata?

- Na jednej z tych wysepek. Mam tam małą szopkę, w której zostawia się ubrania i ekwipunek. Tak jest wygodniej.

- Czy ta szopka jest zamykana na klucz?

- Nie, nie przypuszczam.

- Tak więc każdy, kto wiedział, że ten kostium tam się znajduje, mógł go sobie "wypożyczyć"?

- Podejrzewam, że tak - przyznał kapitan Joy.

- Ta okoliczność nie upraszcza nam zbytnio sprawy - westchnął smutno Jupiter. W chwilę potem rozjaśnił się znowu. - Ale wiemy już, gdzie Karnes prowadzi te wykopki, i obecnie problem polega na tym, aby dowiedzieć się, czego on może tam szukać. Panie Evans, to musi być coś, co jest ukryte w wieży albo w samym tunelu.

Joshua Evans wzruszył ramionami.

- Nie mam zielonego pojęcia, co by to mogło być.

- A pan, panie kapitanie?

- Przypuszczam, że musi to być coś, co pozostawił po sobie Purpurowy Pirat, chociaż cały ten teren został dokładnie przekopany sto lat temu przez poszukiwaczy skarbów.

- Rzeczywiście, taki wariant jest najbardziej prawdopodobny - stwierdził Jupiter. - Mimo że w późniejszych latach kręciło się tu wielu przemytników i wszelkiego rodzaju kryminalistów.

- Co by to nie było, Jupe - odezwał się Bob - przypuszczam, że znajduje się to tam nadal. Ale dręczy mnie, że nie wiemy dokładnie, kiedy udało się im przekopać przejście w tym zawale.

- Wiemy, że na pewno kopali jeszcze zeszłej nocy - zauważył Jupiter. - Pete, idź zobaczyć, czy ten ich obserwator nadal stoi na czatach.

Pete kiwnął głową i truchtem pobiegł do bramy. Joshua Evans popatrzył za nim z wyrazem zaintrygowania na twarzy.

- Obserwator? Na czatach? O czym wy mówicie, chłopcy?

- Karnes polecił swoim ludziom obserwować ten teren przez całą dobę - wyjaśnił Bob.

- Czasami stoją we dwóch, czasami jest tylko jeden, ale zawsze można tam spotkać któregoś z nich.

Evans zaczął w zamyśleniu gładzić dolną szczękę.

- Powiadasz, że przez całą dobę?

- Jest to rzeczywiście sprawa, która nie daje mi spokoju - przyznał Jupiter. - Wygląda to tak, jakby Karnes bał się, że ktoś inny sprzątnie mu sprzed nosa to, czego szuka. Albo jakby był pewien, że na tropie tego czegoś są także inni ludzie.

- Może ten facet w kostiumie Purpurowego Pirata, który tak nas wystraszył? - zastanawiał się Bob.

Od bramy nadbiegł zdyszany Pete.

- Szefie, jest tam za płotem ta furgonetka z lodami.

- Panie kapitanie, czy dziś wieczorem wybiera się pan znowu na nagrywanie swoich historyjek? - zapytał Jupiter.

- Oczywiście, jedziemy obaj z tatą - wyręczył ojca Jeremy.

- W takim razie - stwierdził Jupiter stanowczym, pewnym siebie głosem - proponuję, żebyśmy wrócili teraz do domu i odpoczęli trochę. Nie jest wykluczone, że mamy przed sobą bardzo długą noc. A poza tym - zwrócił się po krótkiej pauzie do Evansa i Sama - myślę, że byłoby dobrze, żeby obaj panowie mogli nam towarzyszyć tej nocy na wypadek, gdyby sprawy przybrały zbyt niebezpieczny dla nas obrót!

Rozdział 18
Nieoczekiwana wpadka

Jupiter, Pete i Bob wjechali w bramę dawnej pirackiej bazy dokładnie w chwili, gdy ostatni tego dnia turyści zbierali się do wyjścia. Wszyscy mieli na sobie ciemne koszule, nie zapomnieli też zabrać latarek i nadajników. Wśliznęli się do środka między wychodzącymi turystami pilnując, aby nie rzucić się w oczy siedzącemu w ciężarówce firmy Allena Carlowi, przysłanemu przez majora Karnesa w charakterze obserwatora. Znalazłszy się za płotem, pędem pognali do mieszkalnej przyczepy kapitana Joya. Tym razem skorzystali z gościnności kapitana i jego syna, którzy podzielili się z nimi kolacją. Po przeżyciach i przygodach, jakie mieli tego dnia za sobą, apetyt dopisał im znakomicie.

W godzinę później zjawił się Sam Davis. Pan Evans pozostał w wieży i co pewien czas pokazywał się w oknie, aby uśpić czujność Carla, czatującego wysoko na platformie wysięgnika. Po zapadnięciu zmroku kapitan Joy i Jeremy wsiedli do starego pikapa i zamknąwszy za sobą bramę, odjechali do Rocky Beach na kolejną sesję nagraniową.

- Czas na nas, koledzy - powiedział spokojnym głosem Jupiter.

Cała trójka wymknęła się z przyczepy, starając się trzymać w cieniu. Jeśliby Karnes zachowywał się tak samo jak poprzedniego dnia, chłopcy i Sam "Solniczka" mieli około dziesięciu minut na dostanie się do wodnego hangaru. Zdawali sobie sprawę, że Carl może odkryć ich obecność. Jednak ciemnoszare koszule i bluzy dawały im szansę dotarcia do zgrzybiałej budowli bez zwrócenia na siebie jego uwagi.

Znalazłszy się w środku, Bob, Pete i Sam Davis wspięli się po stromej drabinie na zarzucone żeglarskim sprzętem poddasze, podczas gdy Jupiter zsunął się do płytkiej wody i skierował pod pomost. Pierwszy Detektyw otworzył, a potem zamknął za sobą zwodzony most na zawiasach i ruszył ciemnym tunelem aż do jego wylotu w wieży. Tam naciśnięciem żelaznej dźwigni otworzył sekretne drzwi w ścianie, zamknął je po wejściu do piwnicy i popędził w górę, aby dołączyć do Joshuy Evansa.

Tymczasem Bob i Pete ułożyli się w ciemności dokładnie nad podwójnymi drzwiami, w które po przyjeździe Karnesa powinna była wjechać jego furgonetka. Sam zajął pozycję w drugim końcu poddasza, gdzie mógł obserwować przez małe okienko teren od strony wody. Tak usadowieni zaczęli czekać.

Ciszę spokojnej, czerwcowej nocy przerywały od czasu do czasu samochody, jadące drogą wzdłuż zatoki. Z rybackiej wioski po drugiej stronie doszło chłopców ujadanie psa.

Daleko niosły się po gładkiej wodzie jakieś wesołe śpiewy. Po okienku poddasza przemknął nagle reflektor startującego z toru na zatoce hydroplanu. Gdzieś całkiem blisko szczęknęły zatrzaskiwane drzwi samochodu. Można było usłyszeć cichy odgłos opon hamującego auta.

Ten ostatni dźwięk zdawał się dochodzić od strony bramy! W chwilę potem rozległ się z niewielkiej odległości ostry szczęk, jakby uderzających o siebie metalowych przedmiotów. Wreszcie cichy szum prawie doskonale wytłumionego silnika przybliżył się i zgasł w nocnej ciszy. Przez chwilę nie zakłócał jej żaden odgłos.

Podwójne drzwi hangaru zaczęły się otwierać!

Pete i Bob wstrzymali oddechy. Z niesłyszalnym prawie mruczeniem silnika do hangaru wjechała furgonetka. Chłopcy wyraźnie widzieli przesuwający się tuż pod nimi dach samochodu. Z kabiny wyskoczyli Karnes i Hubert, aby zamknąć drzwi. Bob trzy razy chuchnął do nadajnika, dając w ten sposób umówiony sygnał.

W głośniku jego walkie-talkie ozwało się leciutkie stukanie, znak, że Jupiter odebrał poprzednią informację.

Natychmiast po zamknięciu drzwi major i Hubert podbiegli na skraj pomostu i zsunęli się do płytkiej wody. W szczelinach drewnianych bali zamigotały światła ich latarek, skierowane na wejście do tunelu.

Panującą w hangarze ciszę rozdarł nagle głośny łoskot, niespodziewany niczym uderzenie pioruna!

- A niech to wszyscy diabli! - wrzasnął Sam “Solniczka”.

Chłopcy zobaczyli ze zgrozą, że były marynarz rozciągnął się jak długi na deskach poddasza, tak jakby zaplątał się w jakieś liny i odłamki starych drzewc. Zanim zdążyli zrobić najmniejszy ruch, na ich głowy z łoskotem zleciał poruszony przez Sama długi maszt. W chwilę potem twarze obu chłopców znalazły się w świetle wycelowanej w ich stronę latarki.

- Ej tam, wy dwaj, złazić mi natychmiast na dół!

Obok furgonetki zobaczyli Carla, trzymającego w jednej dłoni latarkę, a w drugiej pistolet. Ze ściśniętymi gardłami zaczęli schodzić powoli po drabinie. Major i Hubert wdrapali się z powrotem na pomost, ociekając wodą i stanęli za Carlem.

- Hubert, sprawdź to poddasze - rzucił ostro major. - Zobacz, czy nie ma tam jeszcze jednego.

Słoniowaty osiłek kiwnął głową i zaczął się wspinać po drabinie, która zatrzeszczała pod jego ciężarem. Major Karnes przeszył chłopców świdrującym spojrzeniem.

- Gdzieś już widziałem was obu! - powiedział, a potem jeszcze mocniej wpił się w ich twarze swym przenikliwym wzrokiem. - Do pioruna, tak! To wy pomogliście mi uspokoić ten

wściekły tłum pierwszego dnia nagrań. I byliście pierwszymi, których nagrałem! Co tu robicie, do krocset diabłów? I gdzie jest trzeci z was? Pamiętam, że było was trzech. Wy i jeszcze taki grubasek, który najwięcej mówił. Gdzie on jest? A wy co tu robiliście, ukryci w tych starych żaglach?

- Mmmy... wwwwcale... - zająknął się Bob.

Łomot butów Huberta nad ich głowami uspokoił się na chwilę.

- Nie ma tu więcej nikogo, szefie - zawołał osiłek z góry.

Bob i Pete wymienili ukradkowe spojrzenia. Gdzie się podział Sam "Solniczka"? I co miał zamiar robić dalej? Było jasne, że wydostał się na zewnątrz przez małe okienko i uciekł.

- Sprawdź dokładnie, ty ośle! - krzyknął w stronę poddasza Karnes. - Powinien tam gdzieś być trzeci z tych obwiesiów - dorzucił po chwili, a potem znowu popatrzył na Boba i Pete'a. - No, gadać mi tu prędzej, po co ukryliście się na tym stryszku.

- Nie ukrywaliśmy się wcale - powiedział Bob. - Dopiero co udało się nam zasnąć. To znaczy, popłynęliśmy przedtem w rejs tym pirackim statkiem, a potem poczuliśmy się zmęczeni i przyszliśmy tutaj, żeby odpocząć. No i zasnęliśmy.

- Tak, tak - potwierdził szybko Pete. - Spaliśmy sobie tam na górze.

Schodzący po drabinie Hubert pośliznął się i łamiąc ostatnie trzy szczeble, runął na ziemię. Po drodze zawadził o Pete'a, który rozciągnął się jak długi.

- Ty zatracony niedołęgo! - wrzasnął Karnes.

Mrucząc coś pod nosem, Hubert pochylił się nad Pete'em, aby pomóc mu się podnieść.

- Przepraszam, przyjacielu - wyjąkał z zażenowaniem i przeciągnął ręką po koszulce Pete'a, jakby chciał oczyścić ją z kurzu, a potem wybałuszył na niego oczy.

- Ej, szefie! Pamięta pan, jak mówiłem, że być może widziałem wczoraj tu, przy bramie, chłopaka, który się nam przyglądał? To ten sam, wie pan? To znaczy, tak mi się zdaje.

- Aha, więc to tak! - rzucił krótko Karnes. - Carl, przeszukaj ich obu!

W chwilę potem Carl wręczył szefowi znalezione przy chłopcach latarki, nadajniki i wizytówki.

Karnes przeleciał je szybko oczami.

- Detektywi, co? Powoli wszystko się wyjaśnia. Zaczailiście się tu, żeby nas szpiegować, a ten trzeci czeka na waszą informację, co tu robimy. - Przerwał na chwilę i sięgnął po walkie-talkie Pete'a. - Jesteś tam, chłoptasiu? - powiedział do mikrofonu. - No to posłuchaj uważnie. Złapaliśmy twoich przyjaciół. Zaraz zwiążemy ich obu i zostawimy przy

nich naszego człowieka. Nie wchodź nam w drogę i nie próbuj żadnych sztuczek, bo zrobimy twoim kolegom kuku, jakiego na pewno im nie życzysz!

Rozdział 19

Sytuacja się zmienia

Jupiter i Evans oczekujący w wieży na rozwój wypadków usłyszeli wszystko to, co rozegrało się wewnątrz hangaru, dzięki odbiornikowi Jupitera, nastawionemu na odebranie następnego meldunku Boba. Dotarła do nich także ostatnia groźba Karnesa.

- Złapali ich - powiedział zrozpaczonym głosem Jupiter.

- Nie załamuj się - podtrzymał go na duchu Evans.

- Musimy jednak coś zrobić!

- Rzecz w tym, że zupełnie nie wiem, co - przyznał Evans. - Moglibyśmy...

Przerwało mu wściekłe łomotanie do drzwi. Jupiter zdrętwiał. Evans wyjął z kieszeni spodni pistolet. Stukanie rozległo się znowu. A potem jeszcze raz, coraz bardziej natarczywie. Evans spokojnym krokiem podszedł do drzwi i otworzył je.

Przed wejściem do wieży stał Sam Davis, ociekający wodą ze zmoczonych do kolan spodni. Na widok stojących otworem drzwi ruszył spiesznie do środka, niespokojnie oglądając się za siebie.

- Ten cholerny kurdupel tam jest. Złapał chłopców!

- Wiemy o tym - powiedział Evans. - Jak ci się udało stamtąd uciec?

- Siedziałem w kącie, przy szczytowej ścianie i wydostałem się przez okno - wyrzucił jednym tchem Sam “Solniczka”. - Musiałem skakać do tej przeklętej wody. Ledwo z niej wylazłem

- Miałeś szczęście - pocieszył go Evans. - Prawdopodobnie my też. Ale ponieważ jest nas już trzech, zaczyna mi się rysować pewien plan.

- Co chce pan zrobić? - spytał Jupiter.

- Może lepiej zejdźmy od razu do piwnicy.

Nie zwlekając ani chwili, wszyscy trzej ruszyli schodami do mrocznej, nisko sklepionej piwnicy. Już na dole gospodarz wieży polecił Samowi schować się pod schodami, sam zaś z Jupiterem skierował się do spiżarni.

- Co właściwie zamierzasz, Evans? - zapytał ochrypłym szeptem Sam.

- No właśnie, jaki ma pan plan działania? - przyłączył się do niego Jupiter.

- No więc, Jupiterku - powiedział Evans - obawiam się, że będę musiał zacząć od pewnego zwierzenia. Widzisz, ja...

- Znalazł pan już ten skarb! - wykrzyknął Jupiter. - Wrócił pan do Zatoki Piratów,

ponieważ wiedział pan, że on tu jest!

- Tak, dokładnie tak. Wróciłem tu tylko po to, aby szukać tego starego skarbu i znalazłem go tydzień temu!

- Chce pan powiedzieć, że znajduje się on w dalszym ciągu w wieży?

Evans skinął potakująco głową.

- Tak, ściśle biorąc tu, w tej spiżarni. Tak, jak go znalazłem, razem ze starą chińską szkatułą. Widzisz, mój ojciec wiele lat temu opowiedział mi o tajemnicach tej wieży i o skarbie ukrytym tu przez mojego prapradziadka. Ale dopiero rok temu mogłem zostawić moje sprawy na wschodnim wybrzeżu i zamieszkać w tej wieży. Po długich poszukiwaniach natrafiłem wreszcie na ten skarb tydzień temu.

- Ale dlaczego, proszę pana - zapytał Jupiter - nie powiedział pan nikomu o tym znalezisku?

- Mówiąc prawdę, Jupiterku, nie byłem pewien, jak ta sprawa wygląda z prawnego punktu widzenia i do kogo ten skarb w istocie należy. I wolałem uniknąć rozgłosu, aż do chwili uzyskania pewności co do tego.

- Według mnie powinien on należeć do tego, kto po tylu latach znalazł go na terenie swojej posesji - stwierdził Jupiter.

- Należy do tego, powiadam, kto go pierwszy ucapił - odezwał się spod schodów Sam. - Znalazłeś, to twoje!

- W każdym razie - dodał Evans - mam zamiar zrobić wszystko, aby nie wpadł w łapy twojego majora Karnesa ani żadnego innego złodzieja!

- Jak pan chce uzyskać tę pewność?

- Mam nadzieję wyprowadzić ich w pole... Ale nie mamy już wiele czasu. Myślę, że Karnes nie zjawił się tu jeszcze tylko dlatego, że zajęty jest wiązaniem twoich kolegów, no i dostosowywaniem swoich planów do nowej sytuacji. Ale niedługo pokaże się w tej piwnicy, uzbrojony i w dodatku nie sam. Będzie przygotowany na to, że zobaczy tu ciebie, Jupiter, ale nie spodziewa się Sama, toteż ty, Sam, siedź tam schowany pod schodami. Jak tylko się tu zjawi, przyznam mu się, że znalazłem skarb i powiem, że znajduje się on w spiżarni. On i jego kolesie będą tak żądni zobaczenia go, że natychmiast rozkażą mi, żebym im pokazał, gdzie go trzymam, i całkiem zapomną o Jupiterze. Tak więc w momencie, gdy znajdziemy się wszyscy w spiżarni, ty, Sam, błyskawicznie wyskoczysz z ukrycia, po czym obaj z Jupiterem zatrzaśnięcie drzwi do spiżarni i zamkniecie je od zewnątrz na kłódkę!

- Ale w ten sposób pan znajdzie się razem z nimi w pułapce - zaprotestował Jupiter, kiedy Evans wszedł do spiżarni, żeby poszukać jakiejś kłódki.

- Mam pistolet - odparł Evans, wręczając Samowi ogromną kłódkę - i sądzę, że będę w stanie unieszkodliwić tych facetów. Kiedy drzwi zatrzasną się za nimi, będą tym tak zaskoczeni, że natychmiast rzucą się, żeby je otworzyć albo wyłamać. Ludzie zawsze reagują w ten sposób. Będę ich trzymał na muszce do czasu, aż uwolnicie Boba i Pete'a i sprowadzicie policję.

- Diabelskie nasienie! - odezwał się głośnym szeptem Sam. - Już tu są!

- Jupiter, stań tu, za mną - powiedział Evans. - Sam, jeżeli mój plan się nie uda, bądź gotów, żeby na nich skoczyć!

Rzuciwszy te polecenia, Evans stanął na środku piwnicy i w tym momencie ściana zaczęła się otwierać. W chwilę potem do piwnicy wtargnął Karnes, a tuż za nim w ciemnym otworze ukazał się Carl. Obaj trzymali w wyciągniętych przed siebie rękach pistolety. Natychmiast spostrzegli Joshuę Evansa i Jupitera.

- Tak jak myślałem - powiedział z ironicznym uśmieszkiem filigranowy herszt bandy. - Joshua Evans we własnej osobie, razem z trzecim z tych smarkatych detektywów. Powinienem był domyślić się wcześniej, że to ty, Evans, stoisz za plecami tych wścibskich młokosów, których przyłapałem w hangarze. No, koniec tej zabawy. Ręce na głowę, i to już!

Joshua Evans wzruszył ramionami.

- W porządku, Karnes, wygrałeś. Nie mieszaj do tego tych dzieciaków. To, czego szukasz, znajduje się w spiżarni, w szafie przy tylnej ścianie.

Carl rzucił się do drzwi spiżarni, po drodze chowając do pochwy swój pistolet.

- Carl! - rzucił ostro Karnes. Mężczyzna zatrzymał się w miejscu. Karnes machnął pistoletem w kierunku Evansa. - Ty idziesz pierwszy. No, ruszaj się, na co czekasz!

Evans wszedł w drzwi spiżarni, mając tuż za plecami Karnesa i Carla. Karnes nie spuszczał oka z szerokich barów Evansa, tak jakby był pewien, że Evans chce mu spłatać jakiegoś figla. Kiedy wszyscy trzej znaleźli się w środku, Carl rzucił się niecierpliwie do przodu, aby czym prędzej dopaść upragnionego łupu.

Tak jak to Evans przewidział, obaj całkiem zapomnieli o Jupiterze. W jednej chwili Sam wygramolił się spod schodów, po czym obaj błyskawicznie zatrzasnęli ciężkie drzwi spiżarni, a Sam wcisnął w otwór skobla ucho masywnej kłódki!

Przez dłuższą chwilę po drugiej stronie drzwi panowała cisza. Dopiero po kilku sekundach dobiegły stamtąd wściekłe krzyki i tupot nóg. Ktoś zaczął szarpać z całych sił klamkę. A potem ze środka dobiegł spokojny głos Evansa.

- Mam was obu na muszce! Powoli połóżcie na ziemi pistolety! A teraz obaj obróćcie się twarzą do mnie! Okay! Jupiter, dzwoń po policję!

- Już się robi! - odkrzyknął Pierwszy Detektyw.

Wybiegając z piwnicy Jupe miał wrażenie, że słyszy tłumiony śmiech Evansa. Bez trudu wyobraził sobie, jak potomek słynnego pirata szczerzy w ciemności zęby do wściekającego się bezsilnie Karnesa i jego kompana, Carla.

Rozdział 20
Kryminaliści pod kluczem

Oparłszy się plecami o skrzynię furgonetki, Bob i Pete siedzieli ze związanymi rękami i nogami w mrocznym hangarze. Tuż obok nich warował Hubert, niczym wielki, zły pies. W trzęsącej się z podenerwowania dłoni trzymał latarkę.

- Tylko bez żadnych sztuczek, zrozumiano? Szef kazał mi przypilnować, żebyście nie uciekli, więc nie próbujcie mnie podejść!

Hubert był jednak zbyt podniecony, aby wytrzymać długo bez ruchu. Podniósł się i poczłapał na skraj pomostu, a potem schylił się i zaświecił w kierunku wejścia do tunelu, tak jakby miał nadzieję zobaczyć tam swego bossa. Następnie wrócił powłócząc nogami, aby ostrzec chłopców jeszcze raz, po czym powlókł się do drzwi i wyjrzał na dwór, żeby się upewnić, czy nie grozi mu z tej strony jakieś niebezpieczeństwo.

W tym momencie z kieszeni bluzy Boba doszło chłopców ciche syczenie.

- Bob, to jest twój walkie-talkie - szepnął Pete. - Zostawiłeś włączony na odbiór. Dasz radę przełączyć go na nadawanie?

Najciszej, jak tylko mógł. Bob zwinął się w kłębek, aby dosięgnąć związanymi dłońmi zewnętrznej powierzchni kieszeni. Po kilku próbach nacisnął wreszcie przez materiał właściwy guzik.

- Jesteśmy obaj tak mocno związani - powiedział na cały głos - że nie musisz się niczego obawiać, Hubert. Na pewno nie zwiejemy.

Bob odszukał teraz przez materiał przycisk odbioru i nacisnął go. Odezwał się cichy głos Jupitera:

- Zrozumiałem. Posłuchaj uważnie. Powiedz Hubertowi, że Karnes chce z nim rozmawiać. On wie, że Karnes ma jeden z naszych nadajników, więc na pewno podejdzie do ciebie i zacznie słuchać. Ja się zajmę resztą.

- Hubert! - zawołał Pete.

Niezdarny osiłek spojrzał od drzwi w jego kierunku.

- Siedźcie cicho! Nie wolno wam rozmawiać.

- Dobrze, dobrze - powiedział Bob. - Ale właśnie major Karnes powiedział nam, że chce rozmawiać z tobą.

- Rozmawiać ze mną? - powtórzył Hubert, rozglądając się za Karnesem po całym hangarze.

- Ale przez nasz walkie-talkie - wyjaśnił Pete. - Wiesz, taki kieszonkowy nadajnik radiowy. Major zabrał nam jeden z nich, pamiętasz?

- Nadajnik? Och, rzeczywiście, przypominam sobie. Szef będzie mówił do niego?

- Jasne - odparł Bob. - Chodź tu bliżej i słuchaj.

Hubert zbliżył się ostrożnie, jakby obawiał się jakiegoś podstępu. Wolał jednak nie ryzykować nieposłuszeństwa wobec szefa.

Głośnik ryknął nagle pełnym głosem:

- Hubert, ty ośle, gdzie się podziewasz, kiedy chcę z tobą rozmawiać?

Gdyby Pete i Bob nie byli związani, podskoczyliby pewno przynajmniej na pół metra w górę. Była to dokładna kopia głosu majora, do ostatniego szczegółu. Mimo iż często zdarzało się im podziwiać aktorskie i mimiczne zdolności Jupitera, za każdym razem zdumiewała ich jego umiejętność podrabiania prawie każdego głosu. Hubert zbladł i wlepił gały w kieszeń bluzy Boba, tak jakby miał przed sobą samego szefa.

- Je... je... jestem szefie.

- Przestań się jąkać, kretynie! Słuchaj teraz uważnie. Sprawdź, czy te młokosy są dobrze związane, zabierz ich nadajnik i przyjdź do mnie tunelem! I nie każ mi za długo czekać, bałwanie!

Hubert kiwnął prędko głową w kierunku kieszeni Boba.

- Tak jest, szefie. Już idę. Zaraz tam będę.

Starając się jak najgorliwiej wypełnić polecenie swego przełożonego, biedny Hubert niezdarnie chwycił nadajnik i nie rzuciwszy nawet okiem na krępujące chłopców liny, zsunął się z pomostu i zaczął brnąć po płytkiej wodzie w kierunku wąskiego wejścia do tunelu. W chwili gdy zniknął w jego wnętrzu, drzwi hangaru uchyliły się i do środka wsunął się Sam Davis.

- Udało się nam zamknąć majora i Carla w tej spiżarni w piwnicy - zachichotał, biorąc się do rozwiązywania sznurów. - Evans zwabił ich tam podstępem i teraz trzyma ich na muszce. Już wcześniej znalazł ten skarb i użył go jako przynęty, żeby ich zamknąć w ciemnej dziurze!

- Pan Evans znalazł piracki skarb? - spytał Bob prostując nogi.

- Tak, i to jeszcze zanim ja zabrałem się do szukania - potwierdził Sam.

Pete zaczął rozwiązywać sobie nogi uwolnionymi już rękami.

- Więc to pan gonił nas wtedy w masce Purpurowego Pirata! Szukał pan skarbu i próbował nas pan odstraszyć!

Sam Davis zwiesił głowę.

- Którejś nocy wróciłem tu, ponieważ czegoś zapomniałem, i zobaczyłem tych facetów, jak wychodzili z hangaru. Dopiero po paru dniach znalazłem ten tunel. Chciałem po prostu wykapować, za czym oni tu węszą. Nie miałem zamiaru robić wam nic złego.

- W tej chwili to nie ma żadnego znaczenia - powiedział naglącym tonem Bob. - Zmykajmy stąd, zanim Hubert się zorientuje, że został wpuszczony w maliny, i wróci!

Cała trójka błyskawicznie wymknęła się na dwór i chyłkiem popędziła do wieży. Za drzwiami czekał już na nich Jupiter z nadajnikiem w ręku. Na ich widok podniósł go do ust.

- Hubert, ty imbecylu! Zasuwaj z powrotem do hangaru! Zostałeś nabrany! To nie ja mówiłem do ciebie przedtem, ty idioto! Natychmiast zabieraj swoje zwłoki z powrotem tam, skąd przyszedłeś! Jeżeli oni uciekną, porachuję się z tobą później! Spiesz się, bałwanie!

Już w komplecie, chłopcy stanęli na schodach i zaczęli nasłuchiwać. Zdawało się im, że gdzieś w głębi tunelu ozwał się wyraźny jęk, a w chwilę potem zaczęły ich dochodzić stłumione, oddalające się odgłosy przeciskania się przez wąski korytarz w kierunku hangaru. Wybuchnęli śmiechem.

- O rany, Jupe - wykrzyknął Pete. - Kapitalnie to odegrałeś!

- I co robimy dalej? - zapytał niecierpliwie Bob.

Ale zanim Jupiter zdążył odpowiedzieć, usłyszeli nagle wycie silnika na wysokich obrotach. Wybiegli na dwór, w samą porę, aby zobaczyć wyskakującą z hangaru furgonetkę, która z piskiem opon pomknęła ku alei, a potem ku bramie. Nie zatrzymując się Hubert wyrżnął w sam jej środek maską samochodu i w parę sekund potem zniknął w ciemnościach.

- Musiał mieć cykora, jakby go gonił sam diabeł! - powiedział Pete.

- I to przebrany za majora Karnesa - dodał Jupiter. - Najwyższy czas, żeby przekazać tego diabła w ręce policji.

Stary przyjaciel Trzech Detektywów, komendant policji Reynolds, pracował tego dnia do późnej nocy i o całej sprawie dowiedział się od oficera dyżurnego. Natychmiast wysłał paru ludzi, aby przymknęli Santosa i polecili kapitanowi Joyowi i Jeremy'emu wrócić na piracki półwysep. Następnie nawiązał łączność z okręgowym szeryfem i obaj pospiesznie, z włączonymi syrenami, pognali ku pirackiej zatoce. Niemal jednocześnie z nimi pod kamienną wieżę podjechał kapitan Joy i towarzyszący mu policjanci.

- Mamy tu jednego o nazwisku Santos - zameldował dowódca patrolu.

- To dobrze - stwierdził szef posterunku. - Bierzemy się za pozostałych.

W asyście funkcjonariuszy z gotowymi do strzału pistoletami Jupiter wyjął ze skobla ciężką kłódkę i otworzył drzwi piwnicznej spiżarni.

- No dobra - powiedział szeryf. - Wychodzić z rękami nad głową.

W drzwiach ukazała się ponura twarz Carla, tuż za nim wyszedł na środek piwnicy z rękami nad głową zaczerwieniony po uszy major Karnes. Jako ostatni opuścił schowek uśmiechnięty Evans, wciąż z pistoletem w dłoni. Na przegubach obu podejrzanych natychmiast zamknęły się kajdanki.

- O co właściwie jesteśmy oskarżeni? - zapytał major Karnes.

- Przypuszczam, że naruszenie cudzej własności z włamaniem powinno wystarczyć - stwierdził Jupiter.

- Nie mówiąc o nocnym napadzie, nielegalnym posiadaniu broni, a nawet o porywaniu nieletnich! - dodał komendant Reynolds.

- Złapaliście wszystkich? - spytał Joshua Evans.

- Wszystkich, z wyjątkiem Huberta - powiedział śmiejąc się Bob, który opisał następnie podstęp, zastosowany przez Jupitera wobec ich słoniowatego strażnika. - Założę się, że będzie uciekał tą furgonetką dotąd, aż mu się skończy benzyna!

Jeremy nie mógł już dłużej powstrzymać swej ciekawości.

- Ej, chłopaki! Panie Evans! Gdzie jest ten skarb?

Joshua Evans uśmiechnął się.

- Chodźcie za mną - powiedział, a potem poprowadził chłopców do wielkiej komody, stojącej przy ścianie w głębi spiżarni.

Wyjął z niej czarną, pokrytą błyszczącą emalią szkatułę z lśniącymi, mosiężnymi okuciami i wypalonym na wieku napisem: Por. William Evans. Postawił szkatułę na stole i uniósł pokrywę.

- Rany Julek! - westchnął oniemiały z wrażenia Jeremy.

Chłopcy wytrzeszczyli oczy na widok wypełniających szkatułę pierścieni, wisiorów, bransolet, złotych świeczników, domowych sreber, mieniących się mimo mroku panującego w piwnicy. Bob wziął do ręki jakąś broszkę. Pete i Jeremy zanurzyli dłonie w złotym bogactwie. Jupiter sięgnął po wysadzany diamentami pierścień, a potem pieszczotliwie przejechał dłonią po pięknej, chińskiej szkatule.

- To musi być warte miliony - powiedział Bob.

- Szczęściarz z pana, panie Evans - stwierdził szef policji Reynolds, - Powinien pan chyba wynająć adwokata, żeby się upewnić, czy wszystko jest zgodne z prawem, ale nie sądzę, aby napotkał pan na jakieś kłopoty. Nawet jeśli były to łupy zrabowane przez piratów, nie można już udowodnić niczyich praw, no a skarb został znaleziony na terenie pańskiej posesji. Ponieważ akt piractwa został popełniony w czasie, gdy Kalifornia należała do

Meksyku, rząd meksykański mógłby zgłosić pretensje do tego skarbu, ale nie widzę żadnych możliwości rozstrzygnięcia ewentualnego sporu na jego korzyść.

- Z pewnością skorzystam z pańskiej rady - powiedział Evans.

Szeryf polecił swoim ludziom, aby zabrali Carla i Karnesa do aresztu w Rocky Beach, dokąd już wcześniej zawieziony został Santos. Razem z nimi pojechali podkomendni Reynoldsa, którzy otrzymali zadanie schwytania Huberta.

- No cóż, chłopcy - powiedział z uśmiechem naczelnik policji - znowu odwaliliście kawałek dobrej, detektywistycznej roboty. Jak zwykle, jestem z was dumny, ale teraz powinniście chyba zacząć zbierać się do domu. Późno już, więc jeżeli chcecie, podwiozę was. To wszystko, co w tej chwili mogę dla was zrobić.

- Chciałbym ze swej strony podziękować całej trójce - oświadczył Joshua Evans. - Może chłopcy zechcieliby przyjechać tu jutro, żeby pomóc mi zinwentaryzować znalezisko? Obawiam się, że te niebieskie ptaszki rychło wyjdą za kaucją na wolność, toteż chciałbym jak najprędzej umieścić skarb w jakimś banku.

- Nie zdążą wpłacić kaucji wcześniej niż jutro w południe - powiedział Reynolds. - Nie sądzę zresztą, aby odważyli się niepokoić pana nawet po warunkowym zwolnieniu, ale na wszelki wypadek zostawię tu jednego człowieka, przynajmniej do czasu ujęcia Huberta.

- A ja z moim tatą pomogę panu uporządkować skarb od razu, w tej chwili! - wykrzyknął Jeremy.

- Och, widzę, że wszyscy gotowi są mi pomóc - powiedział Evans. - Ale najpierw chcę podziękować moim trzem dzielnym detektywom. Chłopcy, wybierzcie sobie coś ze skarbu, każdy po jednej sztuce.

Trzej Detektywi z ochoczym błyskiem w oczach pochylili się nad czarną szkatułą. Pete wybrał wielką złotą broszę ze szmaragdem, Bob wysadzaną diamentami bransoletkę, a Jupiter pierścień zdobiony szafirami i diamentami. W chwilę potem załadowali swoje rowery do bagażnika policyjnego samochodu i pojechali do domu.

Rozdział 21
Ucieczka!

O ósmej następnego ranka Pete, wytrącony nagle ze snu, usiadł wyprostowany na łóżku. Usłyszał jakieś podejrzane skrobanie w okno. Pochylił się ku niemu i zobaczył, że ociera się o nie gałąź drzewa. Roześmiał się i na nowo przytulił głowę do poduszki. W chwilę potem wyskoczył jednak spod kołdry i popędził do okna. Przypomniał sobie, że w pobliżu nie rośnie przecież żadne drzewo!

Zobaczył Jupitera i Boba, zadzierających głowy w szarym świetle poranka i zapamiętale dających mu znaki, aby zszedł na dół. Podwórko sąsiada będzie musiało poczekać, przeleciało mu przez głowę. Błyskawicznie wskoczył w dżinsy, naciągnął w biegu koszulę i na czubkach palców zszedł po schodach, tak aby nie usłyszeli go rodzice, siedzący w kuchni przy śniadaniu. Na dworze, w porannej mgiełce, czekali obok swych rowerów Jupiter i Bob.

- O co chodzi, chłopaki?

- Jupiter uważa, że coś się musiało przydarzyć kapitanowi Joyowi i Jeremy'emu - powiedział Bob.

- Co się im przytrafiło? - wykrzyknął Pete jeszcze niezupełnie przytomny.

- Wsiadaj na rower i jedź z nami - powiedział z chmurnym wyrazem twarzy Jupiter. - Będziemy mogli pogadać w czasie jazdy do Zatoki Piratów.

Jednak dopiero po wyjeździe z miasta, kiedy już zdrowo pędzili drogą prowadzącą ku północy, Jupiter podjął wyjaśnienia:

- Nie wiem dokładnie, co mogło się przytrafić kapitanowi i Jeremy'emu. Próbowałem dzwonić do nich dziś rano i nikt nie podnosił słuchawki w ich przyczepie. Wykręciłem więc numer Evansa, ale także z wieży nikt mi nie odpowiedział.

- A policjant, pozostawiony tam na straży? - zapytał Pete.

- Już go nie ma. Dzwoniłem do biura komendanta Reynoldsa, gdzie powiedzieli mi, że Huberta zatrzymano dziś wczesnym rankiem o jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów na północ od Rocky Beach. Karnes, Carl i Santos siedzą nadal w areszcie, więc ten strażnik z wieży został odwołany.

- Ale jeżeli cały gang Karnesa siedzi w pace - spytał z chmurną miną Pete - to kto mógł zrobić coś złego kapitanowi, Jeremy'emu czy panu Evansowi?

- Wiesz, Pete, podejrzewam mocno, że jeszcze nie cały gang Karnesa znalazł się za

kratkami!

Dojechawszy do pirackiego półwyspu, chłopcy zatrzymali się koło połamanej bramy. Poprzedniej nocy rozpędzony samochód prowadzony przez Huberta całkowicie zniszczył obie jej połowy.

- Bob, zajmiesz się przyczepą kapitana. Ja i Pete idziemy do wieży - powiedział Jupiter, zamykając swój rower na klucz przy szczątkach bramy.

Drzwi do wieży stały otworem. Pete'a i Jupitera powitała w środku głucha cisza!

- Panie Evans!

- Panie kapitanie! Jeremy!

Nie było żadnej odpowiedzi. Pete wdrapał się po drabinie, aby sprawdzić wyższe piętra, Jupiter przeszukał parter i zbiegł do piwnicy. Żaden z nich nie spotkał nikogo, nigdzie nie było też śladu po szkatule ze skarbem. Do wieży wpadł zdyszany Bob, a tuż za nim wbiegł Sam "Solniczka".

- Szefie, w przyczepie nie ma ani kapitana, ani Jeremy'ego! Pan Davis mówi, że nie widział ich tego ranka. Ale samochód kapitana stoi tam, gdzie zawsze!

Sama gnębiło mnóstwo wyrzutów sumienia.

- To moja wina! Gdybym powiedział o odkryciu tego tunelu i nie próbował samemu położyć łapy na tym, czego oni szukali, wszystko by było cacy!

- Sam, niech się pan tak nie obwinia - powiedział Jupiter, próbując pocieszyć byłego marynarza. - Problem polega w tej chwili na ustaleniu, gdzie oni są, i co robi pan Evans.

- Evans? - powtórzył Sam. - To co innego. Widziałem, jak odjeżdżał z pół godziny temu, albo mniej.

- Odjeżdżał? - krzyknął Jupiter. - Czy zabrał coś ze sobą?

Sam "Solniczka" pokręcił smutno głową.

- Nie wiem na pewno, widziałem go, jak siedział już w samochodzie. Zdaje się, miał na tylnym siedzeniu parę walizek.

- Skarb! - wykrzyknął Jupiter. - Nie miał zamiaru dzielić się z nikim. Uciekł, koledzy! Spóźniliśmy się! Mam tylko nadzieję, że zdążyliśmy na czas, żeby pomóc kapitanowi i Jeremy'emu. Musimy ich znaleźć!

- Pan Evans? Skarb? - Pete spojrzał na Jupitera z wielce zaintrygowaną miną. - Jupe, dlaczego Evans miałby uciekać ze skarbem? Przecież i tak należał on do niego.

- Rzecz w tym, Pete, że ten skarb przez cały czas znajdował się w jego ręku. Dlatego właśnie ludzie Karnesa obserwowali wieżę na okrągło i chcieli dostać się do niej nie zauważeni przez nikogo. Joshua Evans nabrał nas wszystkich!

- Uciekł z takim pośpiechem, że nie zabrał nawet swojego kota - powiedział Sam "Solniczka". - Słyszycie, jak popłakuje to biedne stworzenie?

Chłopcy zajrzeli do kuchni, skąd dochodziło miauczenie i skrobanie do drzwi. Czarny kot Evansa żałośnie kulił się pod zamkniętym wejściem do pomieszczenia z drabiną, prowadzącą na pierwsze piętro.

- Dlaczego on chce się tam dostać? - zdziwił się Pete. - Na górze nikogo nie ma, a taki zwierzak chyba nie potrafi chodzić po drabinie?

Jupiter zwęził w zamyśleniu oczy.

- Bob, otwórz te drzwi i pozwól mu tam wejść.

Bob otworzył drzwi do mrocznego szybu. Czarny kot pobiegł prosto do przeciwległej ściany pomieszczenia i zaczął miauczeć i drapać ją pazurami, a potem ocierać się o nią, oglądając się bezustannie na chłopców i Sama. Wyglądało to tak, jakby ich prosił o pomoc w przedostaniu się na drugą stronę muru.

- Szefie! - powiedział Bob. - Może tam jest jakieś tajemne pomieszczenie?

- Rozejrzyjmy się za żelaznym krążkiem! - wykrzyknął Jupiter. - I obluzowanym kamieniem, za którym powinna być dźwignia, taka sama, jak w tamtym wejściu do tunelu!

W chwilę potem Pete znalazł krążek, sprytnie ulokowany w taki sposób, że wyglądał jak część starego występu, do którego kiedyś mocowano oliwne lampy. Znajdujący się za nim kamień bez trudu dał się wysunąć ze ściany. Ukryta w ścianie dźwignia poruszała się lekko i było jasne, że ktoś musiał ją niedawno naoliwić. Niemal bezgłośnie odchyliła się ściana, o którą ocierał się miaucz̨ący bez przerwy kociak. Chłopcy i Sam wśliznęli się za nim do niewielkiej komnaty, pełnej szaf z książkami i skórzanych foteli. Pod ścianą, na skórzanej kanapce siedzieli ze związanymi rękami i nogami kapitan Joy i Jeremy. Na ustach mieli plastry z samoprzylepnej taśmy!

- Panie kapitanie! - krzyknął Sam.

- Jeremy! - zawtórowali mu Pete i Bob.

- Co się tu wydarzyło? - zapytał Jupiter.

- Ommmmmmmmm! - jęknął kapitan Joy, dając oczami wymowne znaki, które mogły mówić tylko jedno: - Uwolnijcie nas, zanim zaczniecie zadawać pytania!

Pete wyciągnął z kieszeni scyzoryk i zabrał się do przecinania sznurów, podczas gdy Bob najostrożniej, jak tylko się dało, odkleił taśmę z ust obu więźniów.

- To Evans! - wykrzyknął kapitan Joy, obmacując ostrożnie skórę w miejscu, gdzie przyklejona była taśma. - Nie wiem, co mu strzeliło do głowy. Po prostu...

- Zabrał ze sobą skarb! - powiedział Jeremy, poruszając w miejscu nogami, aby

przywrócić im krążenie krwi. - Zastraszył nas obu pistoletem, zmusił mnie, żebym mu pomógł związać tatę, z potem mnie także związał!

- Kiedy to się stało? - dopytywał się Jupiter.

- Z godzinę temu - odparł gniewnie kapitan Joy. - Przez całą noc sortowaliśmy jego skarb, a kiedy wreszcie skończyliśmy, wyciągnął pistolet i zrobił z nami to, co widzieliście!

- Panie kapitanie, czy powiedział może, dokąd jedzie? Kapitan pokręcił przecząco głową.

- Nie, no a czego zupełnie nie mogę zrozu...

- Tatusiu, on przecież gdzieś dzwonił - przerwał mu Jeremy.

- Ale nie udało się nam usłyszeć, co mówił - stwierdził kapitan Joy. - Nic z tego nie pojmuję. Cały skarb należał przecież do niego.

- Niech pan sobie przypomni, panie kapitanie! Może choć parę słów, które powiedział do telefonu!

Kapitan Joy znowu niechętnie potrząsnął głową.

- Powiedziałem wam już. Nic nie słyszeliśmy. Byliśmy związani, a ja myślałem tylko o jednym: dlaczego? Skończyliśmy właśnie sortowanie razem z Evansem tego skarbu i Jeremy powiedział mu, że niektóre z kosztowności wydają mu się trochę śmieszne, ale...

- Jeremy, co znalazłeś w nich śmiesznego? - spytał Jupiter.

- Sam nie wiem - odparł marszcząc brwi Jeremy. - To znaczy, niektóre pierścionki i inne przedmioty wydawały mi się zbyt... zbyt... nowe.

- Tak - zamyślił się Jupiter. - To rzeczywiście jest...

- Szefie! - krzyknął nagle Bob.

Specjalista do dokumentacji i analiz stał właśnie przed biurkiem i przyglądał się notesowi, leżącemu koło książki telefonicznej. Widać było tam pospiesznie zrobiony rysunek, coś w rodzaju bohomazu, jakie wykonuje się bezwiednie podczas rozmowy przez telefon. Szkic przypominał jakiegoś ptaka albo samolot, ale może...

- To jest hydroplan! - wykrzyknął w nagłym olśnieniu Jupiter. - Widzisz tu? Pontony do lądowania na wodzie! Nad biurkiem pochylił się kapitan Joy.

- To jest podobne do którejś z tych latających taksówek z bazy po drugiej stronie zatoki.

- Z tej firmy, która wynajmuje latające taksówki! - wykrzyknęli Bob i Pete.

Jupiter rzucił się biegiem w kierunku drzwi.

- Zaczekaj! - krzyknął kapitan Joy, a potem spojrzał na zegarek.

- W tej chwili jest dwadzieścia pięć po ósmej, chłopcy. Lotniczy serwis rozpoczyna

pracę o ósmej trzydzieści. Nawet jeżeli Evans jeszcze nie wystartował, w żaden sposób nie zdążymy na czas, żeby go zatrzymać.

- Zadzwońmy tam - powiedział Jupiter. - Może w ten sposób uda się powstrzymać start! Powiemy im, że on jest niebezpiecznym przestępcą!

Kapitan Joy odnalazł w książce numer telefonu i wykręcił go. Poinformował człowieka, który podniósł słuchawkę, że jednym z samolotów serwisu zamierza uciec groźny kryminalista, a następnie opisał wygląd Joshuy Evansa. Mężczyzna potwierdził, że taki osobnik znajduje się na terenie bazy. A właściwie to siedzi już w maszynie, gotowej do startu.

- Spróbujcie go zatrzymać! - powiedział błagalnym tonem kapitan Joy. - Użyjcie radia i polećcie pilotowi, żeby zawrócił! Co takiego? To niemożliwe?

Kapitan spojrzał na wpatrzonych w niego chłopców.

- Hydroplan, do którego wsiadł Evans, nie odpowiada! Oni tam przypuszczają, że Evans jest uzbrojony i zmusił pistoletem pilota do milczenia! Powiedzieli, że już dzwonią do szeryfa, ale samolot właśnie zaczął wypływać z doku!

Jupiter zerwał się i popędził na dwór. W chwilę potem wszyscy stali już na brzegu, wytężając wzrok w kierunku lotniczej bazy na drugim brzegu. Bez trudu dostrzegli maleńki hydroplan, wypływający wolniutko z przystani.

- Za późno! - powiedział rozpaczliwie Jupiter. - Teraz nie da się już go zatrzymać!

Kapitan Joy zszedł tuż nad wodę. Popatrzył na sunący po wodzie płatowiec.

- Da się! - krzyknął. - Za mną!

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i ruszył biegiem w kierunku “Czarnego Sępa”!

Rozdział 22

“Czarny Sęp” atakuje

Kapitan Joy stał z błyszczącymi oczami za kołem sterowym “Czarnego Sępa”, który z prawdziwie pirackim rozmachem ciął wody Zatoki Piratów. Wiatr rozwiewał resztki snującej się nad zatoką mgły. Z wysokości bocianiego gniazda na fokmaszcie Sam “Solniczka” rzucał kapitanowi krótkie meldunki, konieczne dla precyzyjnego prowadzenia statku. Trzej Detektywi i Jeremy stanęli na dziobie, chłonąc słone bryzgi oceanicznej fali. Bądź co bądź, mogli czuć się pełnoprawnymi uczestnikami prawdziwego ataku, pierwszego w całym poczciwym żywocie “Czarnego Sępa”!

- W którą stronę będzie startował ten hydroplan? - zapytał niespokojnym tonem Jupiter.

- W kierunku oceanu, tak jak biegnie główny kanał - wyjaśnił Jeremy wyciągając rękę. - Między czerwonymi i czarnymi bojami. Tylko w ten sposób może się ustawić pod wiatr, który wieje od oceanu.

Z bocianiego gniazda dobiegł głos Sama Davisa:

- Wypłynął z przystani, panie kapitanie, i nabiera szybkości w kierunku kanału!

Przyglądając się dalekiej sylwetce samolotu, stojący na dziobie chłopcy próbowali ocenić szansę przecięcia mu drogi.

- Chyba nie damy rady! - jęknął Pete. - Wystartuje, zanim zdążymy zablokować tor!

- A ja myślę, że zdążymy - wykrzyknął Bob. - Jeszcze nie dopłynął do miejsca, z którego dopiero będzie mógł zacząć się rozpędzać!

- Ale ma już niedaleko - powiedział Pete, starając się zmierzyć wzrokiem odległość.

- Jeżeli nie przybliżymy się odpowiednio - wtrącił Jupiter - zdąży wystartować i przeleci tuż nad nami.

- Chyba nie przeskoczy naszych masztów - stwierdził fachowo Jeremy. - Musimy tylko znaleźć się na czas w kanale między bojami. Furkocząc czarną piracką banderą i targanymi przez wiatr proporczykami, “Czarny Sęp” gnał pełną prędkością ku środkowi zatoki. Jego kadłubem wstrząsały wibracje pracującego na pełnych obrotach silnika.

Samolot dopłynął już na swych pontonach do krańca toru, wyznaczonego dwoma rzędami boi, i osiadł bez ruchu. Z kołyszącego się dzioba statku chłopcy dostrzegali jego obracające się coraz prędzej i prędzej, pojedyncze śmigło. Pod działaniem rosnącej siły ciągu samolot wstrząsnął się lekko, a potem zaczął płynąć!

Nabierając szybkości, niewielka maszyna popędziła między rzędami boi. Jej pontony weszły w ślizg, już tylko lekko muskając powierzchnię wody.

Jupiter przesłonił ręką oczy.

- Widzę już pilota i pasażera! To Evans, poznaję go...

Z każdą sekundą samolot rósł w oczach!

- Ta czerwona boja oznacza połowę długości toru startowego! - krzyknął Jeremy.

Samolot minął wskazaną boję dokładnie w chwili, gdy dziób "Czarnego Sępa" znalazł się w strefie kanału, wyznaczonego bojami.

Wszyscy na statku wstrzymali oddechy!

Coraz wyraźniej widać było przerażoną twarz pilota, który z otwartymi ustami pochylił się do przodu. Joshua Evans uniósł się ze swego fotela i wychylił za okno. W ręku trzymał pistolet, wycelowany w "Czarnego Sępa", kołyszącego się w poprzek kanału.

- Padnij! - ryknął kapitan Joy.

Rozległ się suchy trzask wystrzału. I jeszcze jeden.

Czas jakby stanął w miejscu. "Czarny Sęp" wykonał gładko zwrot i znalazł się dokładnie na linii pędzącego samolotu. Wydawało się, że nic nie uchroni obu antagonistów od zderzenia!

Nagle samolot gwałtownie skręcił i wypadł z toru. Po drodze otarł się skrzydłem o czarną boję, przewrócił się na bok i wpadł do zatoki.

"Czarny Sęp" szarpnął ostro i skierował się dziobem ku tonącemu samolotowi. Z pokładu można było dostrzec pilota, płynącego w stronę statku. Kiedy był już blisko, Jeremy rzucił mu z dzioba koło ratunkowe uwiązane na linie. Ale dopiero po wciągnięciu pilota na pokład, chłopcy zobaczyli Joshuę Evansa.

Płynął w przeciwnym kierunku, popychając przed sobą dwa ratunkowe pasy, na których kołysała się czarna, lakierowana szkatuła ze skarbem!

- Ho, ho - powiedział ociekający wodą pilot po wydostaniu się na pokład - uratowaliście mi życie, chłopaki! Ten gagatek miał pistolet i nie pozwolił mi zawrócić, kiedy otrzymałem przez radio takie polecenie z kapitanatu. Kto to jest? Jakiś rabuś, który obrobił bank czy co?

- Niewiele się pan pomylił - powiedział Jupiter, próbując ocenić odległość statku od uciekającego wpław Evansa.

Właściciel kamiennej wieży nadal próbował ucieczki ze skarbem, unoszącym się na dwóch ratunkowych pasach. Szkatuła była jednak zbyt ciężka i Evansowi z trudem udawało się ochronić ją przed zsunięciem się i zalaniem wodą. Kiedy ścigający go statek zrównał się z

nim, rzucił wyzywające spojrzenie stojącym przy relingu chłopcom. W końcu zrozumiał, że nie będzie w stanie uratować zarazem i skarbu, i własnej osoby. Porzucił więc szkatułę i zaczął najszybciej, jak tylko mógł, płynąć w kierunku najbliższego skrawka lądu. Szkatuła pozostała na środku zatoki, kołysząc się i grożąc pójściem na dno w każdej chwili.

- Pete! Bob! - krzyknął Jupiter. - Łapcie skarb!

Pete i Bob skoczyli do wody i chwycili chwiejącą się bezradnie szkatułę. Wspólnym wysiłkiem doholowali ją do burty statku, a Jeremy rzucił im linę obłożoną na kabestanie i przechodzącą przez blok umocowany do noku rei. Pete i Bob obwiązali cenny ładunek solidnymi splotami, po czym Jeremy uruchomił mechaniczną windę i szkatuła poszybowała w górę, aby w chwilę potem wylądować bezpiecznie na pokładzie.

- A teraz dogonimy Evansa - powiedział kapitan Joy, kiedy Pete i Bob wdrapali się z powrotem na statek.

“Czarny Sęp” znowu przyspieszył, kierując się za Evansem, tnącym wodę wściekłymi wymachami ramion.

- Panie kapitanie - krzyknął z bocianiego gniazda Sam Davis - może by rzucić stąd lasso? A potem chłopaki skoczą do wody i oplączą tego gagatka!

Tym razem do wody skoczyli nie tylko Bob i Pete, ale również kapitan Joy i Jeremy. Jupiter pokrzykiwał tylko dla zachęty z pokładu statku. Podczas gdy kapitan i Pete przytrzymywali obezwładnionego uciekiniera, Bob i Jeremy wsunęli mu przez głowę i umocowali pod pachami pętlę z mocnej liny. W chwilę później Sam uruchomił windę. Evans poszybował wysoko w górę i zawisnął nad pokładem przy końcu rei, miotając się na wszystkie strony i obrzucając przekleństwami prześladowców.

- Rozprawię się jeszcze z wami! - wrzeszczał wijąc się bezsilnie.

Ociekający wodą kapitan i chłopcy triumfalnie wrócili na pokład. Kapitan ujął znowu ster i skierował “Czarnego Sępa” do przystani na pirackim półwyspie.

- Udało się - zwrócił się kapitan do Jupitera. - Ale może byś mi wreszcie wytłumaczył, o co w tym wszystkim chodzi i kim naprawdę jest ten Evans.

- Według moich przypuszczeń, proszę pana, on jest kimś w rodzaju zawodowego złodzieja - stwierdził z chmurną miną Jupiter. - No i piątym członkiem bandy majora Karnesa!

- O rany, Jupe, jak tyś do tego doszedł? - zapytał Jeremy.

- Przede wszystkim, Jeremy, ten “stary skarb” nie jest żadnym pirackim łupem. Moim zdaniem, jest to łup pochodzący z wielu włamań, dokonanych całkiem niedawno.

- Ten mały grubasek chyba oszalał! - wrzasnął kołyszący się pod nokiem rei Joshua

Evans. - A tobie, Joy, wytoczę proces za to, co zrobiłeś ze mną! Natychmiast opuść mnie na dół!

- Jesteś pewien swoich twierdzeń, Jupiterze? - zapytał kapitan Joy.

- Całkiem pewien, panie kapitanie - stwierdził stanowczo Jupiter.

- Przez cały czas byliśmy świadkami czegoś, czego nie umieliśmy sobie do końca wytłumaczyć, a mianowicie wystawiania przez bandę czat, które prowadziły obserwację przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie mogłem też znaleźć żadnego uzasadnienia, które mogło by wytłumaczyć to, że oni odciągali pana i Jeremy'ego gdzie indziej. Musiało istnieć w całej tej sprawie coś więcej ponad to, czego zdołaliśmy się dowiedzieć. Musiał być ktoś, kogo oni obserwowali i pilnowali.

- Evans! - wykrzyknął Bob. - Oni obserwowali Evansa!

- Dokładnie tak, Bob - potwierdził Jupiter. - Ale muszę przyznać - dodał po chwili - że zdałem sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy Evans pokazał nam ten skarb.

- Po czym to poznałeś? - spytał niecierpliwie Pete.

- No właśnie - Wtrącił kapitan Joy - w jaki sposób pomogło ci obejrzenie skarbu?

Kołyszący się wysoko w olinowaniu Joshua Evans znowu obrzucił stekiem wyzwisk szefa detektywistycznej trójki. Kapitan Joy powoli dobijał swym statkiem do przystani na pirackim cyplu.

- To było całkiem proste - wyjaśnił Jupiter. - Kiedy Evans pokazał nam swój skarb złożony w tej czarnej, chińskiej szkatule, od razu zorientowałem się, że coś tu nie gra. Nie podobała mi się sama szkatuła! Te jej mosiężne okucia były o wiele za bardzo błyszczące, a i sam lakier wyglądał zbyt świeżo. Dzisiaj chroni się mosiądz przed śniedzeniem za pomocą różnych pokryć, ale dawniej nie umiano tego robić, toteż stare mosiężne okucia są zawsze zaśniedziałe i pokryte zielonkawym albo czarnym nalotem, a jeżeli je polerowano, nabierają bardziej matowego połysku. Przyjrzałem się tym okuciom i stwierdziłem, że zostały pokryte jakąś warstwą ochronną. Okucia musiały więc być nowe, a sama szkatuła okazała się pudłem wykonanym z lakierowanej sklejki! W połowie zeszłego stulecia sklejka nie była jeszcze wynaleziona. Tak więc szkatuła była całkiem nowoczesna, tyle że ktoś wypalił na jej wieku nazwisko Williama Evansa, żeby nas zmylić!

- Ale mógł to być stary skarb, włożony do nowej szkatuły - powiedział kapitan Joy.

- Raczej nie, bo Evans twierdził, że dopiero co go znalazł - zaznaczył Jupiter. - Aby się upewnić w moich podejrzeniach, skorzystałem z łaskawości Evansa, który podarował nam po jednej starej sztuce, i wybrałem pierścionek, który wyglądał raczej na coś nowego. Dziś wcześnie rano zaniosłem go do jubilera, pana Gandolfiego. Złościł się na mnie za to, że

przyszedłem do jego domu jeszcze przed ósmą, w końcu jednak powiedział mi, że pierścionek został wykonany mniej niż pięć lat temu! Cały skarb musiał być tak samo nowy. Evans osobiście przyniósł go do wieży i z pewnością o tym wiedział. Wiedział też o tym Karnes, musiał zdawać sobie sprawę z tego, że wszystkie klejnoty są nowe i nie pochodzą z żadnych pirackich łupów!

- Ale jeżeli wszyscy oni wiedzieli, że to nie jest piracki skarb - zaoponował Bob - to dlaczego...

- ...dlaczego pozwolili się zamknąć w areszcie - dokończył Jupiter kiwając potakująco głową - nie informując nikogo, że to nie był piracki skarb? Dlaczego pozwolili Evansowi uciec, zostawiając nas w przeświadczeniu, że to był piracki skarb? Jest tylko jedna odpowiedź na te pytania: ponieważ był to łup pochodzący z kradzieży! Karnes i jego wspólnicy ryzykowaliby jego utratę, gdyby powiedzieli całą prawdę. W ten sposób znalazłem odpowiedź na wszystkie pytania.

Wiszący w olinowaniu Evans szarpnął się i wpił palce w opasującą go linę.

- Nie słuchajcie tego głupiego serdelka! On nie ma o niczym pojęcia! Postawię i jego, i was wszystkich przed sądem!

- Jaką odpowiedź znalazłeś, Jupe? - spytał niecierpliwie Jeremy.

- Karnes nie musiał wcale stwierdzać, że skarb jest w rzeczywistości łupem z kradzieży, ponieważ to on i jego banda byli złodziejami, którzy go ukradli! Evans doskonale o tym wiedział, ponieważ on także był członkiem gangu! Wszyscy należeli do tej samej bandy. Evans uciekł im z całym łupem, a Karnes i reszta jego kompanów przyjechali tu za nim, żeby łup odzyskać!

Tuż za plecami chłopców rozległ się tubalny głos komendanta Reynoldsa.

- Dokładnie tak było, Jupiterku! Znowu trafiłeś w dziesiątkę!

Reynolds stał wraz z szeryfem i czterema innymi policjantami na pomoście, do którego dobił właśnie "Czarny Sęp". Wszyscy wpatrywali się z zadartymi głowami w wiszącego na rei Joshuę Evansa.

- To szaleńcy, panie komendancie! - krzyknął z góry Evans wijąc się na wszystkie strony. - Niech ich pan zaaresztuje! To, co oni mówią, to jakieś brednie!

- Ja rzeczywiście przyjechałem tu, żeby dokonać aresztowania - powiedział surowym tonem szef policji, spoglądając w górę na Evansa - ale nie miałem na myśli tych chłopców. Dzięki nim, a także szybkiej akcji kapitana Joya, nie spóźniliśmy się. Tak, Jupiterku, pan Karnes i jego banda to dobrze znani złodzieje biżuterii ze wschodniego wybrzeża, poszukiwani przez policję przynajmniej sześciu stanów. Cały gang znikł ponad rok temu i

obawiano się, że ci przestępcy zabrali ze sobą wszystkie swoje łupy.

- Domyślam się, że przekazał pan do Waszyngtonu odciski ich palców - powiedział Jupiter.

Szef policji skinął potakująco głową.

- To obecnie rutynowa czynność. Ich odciski zgadzały się z odciskami członków tamtego gangu, z tym że wszystkie raporty mówiły o pięciu jego członkach, a nie o czterech! Nie mam żadnych wątpliwości, że na paluszkach pana Evansa wypisane są dowody na to, że jest on tym piątym członkiem złodziejskiej bandy! Zabrać go!

Dusząc się ze śmiechu, Sam “Solniczka” opuścił Joshuę Evansa prosto w ręce czekających na dole policjantów. Podczas gdy miotający się na wszystkie strony potomek Purpurowego Pirata był w drodze do stojącego opodal policyjnego samochodu, komendant Reynolds i szeryf gratulowali sukcesu rozpromienionej trójce detektywów.

Rozdział 23

Pan Hitchcock odnajduje pirackie dziedzictwo

Kilka dni później, w mglisty, czerwcowy poranek, Trzej Detektywi mknęli na rowerach drogą prowadzącą na północ wzdłuż wybrzeża. Minąwszy Malibu, skręcili w wąską i zakurzoną, lokalną drogę, wijącą się do góry Cyprysowym Kanionem, dzielącym wzgórza przytykające do oceanu.

Pierwsze kilometry prowadziły przez całkowicie wyludnioną okolicę, po pewnym czasie jednak zobaczyli po lewej stronie stary, zrujnowany budynek. Dawniej mieściła się tu restauracja "U Charliego", obecnie budowla została przerobiona na prywatną rezydencję. Z boku, w miejscu, z którego po podniesieniu się mgły powinien otwierać się widok na ocean, budowany był teraz wielki, betonowy taras. Z wnętrza domu dochodził cienki głosik, wyśpiewujący po angielsku, ale z dziwnym akcentem, jakieś wesołe piosenki.

Och, jak dobrze być hot-dogiem różowym jak malinka
Już na sam mój widok kowbojom cieknie ślina
I nawet ten, co lubi kotlety,
Będzie miał na mnie wielki apetyt!

W drzwiach domu pojawił się szczupły, lekko siwiejący mężczyzna, o nieco zatroskanym wyrazie twarzy. Obiema dłońmi zatykał sobie uszy, tak jakby miał już dość słuchania tych osobliwych wokalnych popisów. Przyjrzał się chłopcom przez szkła swych okularów i uśmiechnął się.

- Och, kogo widzę! Jupiter, Pete i Bob! Jak to ładnie z waszej strony. Domyślam się, chodzi o napisanie wstępu do nowej kryminalnej zagadki. Mam rację?

- Tak, proszę pana - potwierdził z uśmiechem Jupiter.

- Tym razem zagadka jest trochę zagmatwana, panie Hitchcock - dodał Pete.

Pan Alfred Hitchcock był niegdyś prywatnym detektywem, działającym na wschodnim wybrzeżu, ale doznał poważnych obrażeń, które pozostawiły po sobie trwały ślad w postaci utykania na jedną nogę. Wycofał się więc z pierwotnego zawodu i poświęcił swą wiedzę i zdolności pisaniu trzymających w napięciu książek i kręceniu dreszczowców. Bogaty i zdobywający coraz większą sławę reżyser i pisarz zetknął się z chłopcami w trakcie rozwiązywania przez nich jednej z poprzednich zagadek i blisko się z nimi zaprzyjaźnił. Zawsze gotów do udzielania drobnej, fachowej porady, odczuwał niekłamaną radość, mogąc uczestniczyć, choćby nawet z pewnego oddalenia, w prowadzonych przez chłopców

śledztwach. Z ochotą przystał więc na propozycję opatrywania ich relacji krótkimi wstępami.

Tym razem pan Hitchcock przypatrywał się chłopcom z pewnym zakłopotaniem.

- Nie spodziewałem się po was, chłopcy, że okażecie się tchórzami! - powiedział po krótkim milczeniu.

- Tchórzami, sir? - zdziwił się Pete.

- A jak inaczej mogę określić to, że nie zadzwoniliście do mnie, żeby mnie uprzedzić o waszym przyjeździe? Najwyraźniej zabrakło wam odwagi, żeby zapowiedzieć swoją wizytę i stanąć oko w oko z tym, co Don wybrałby na wasze przyjęcie z ostatniego Telewizyjnego Przewodnika Kucharskiego!

Chłopcy przyjęli wybuchem śmiechu tę aluzję do zachwalanych w telewizyjnych reklamach gotowych mikstur, które z takim znawstwem potrafił przyrządzać Wietnamczyk Hoang Van Don, zatrudniony przez pana Hitchcocka jako asystent, kucharz i chłopiec do wszystkiego.

- Ale nie myślcie, że już się wam całkowicie upiekło! - ostrzegł pan Hitchcock. - Zapewniam was, że Don potrafi w pięć minut wyczarować nawet najbardziej niejadalne danie, i zrobi to na pewno, jak tylko was zobaczy. Zjawiliście się zresztą w samą porę, bo nawet najgorszy ze specjałów, które on mi tu pitrasi, jest bardziej zjadliwy od tych kawałków, które wyśpiewuje w przerwach między gotowaniem posiłków. Tak więc w czasie, gdy będę czytał wasze sprawozdanie, Don przygotuje wam któryś ze swoich smakołyków.

Powiedziawszy to, pan Hitchcock poprowadził chłopców przez nadszarpniętą zębem czasu, drewnianą werandę do przedpokoju, który pachniał całkiem jak bar z hot-dogami na stadionie Doger w Los Angeles, a potem do ogromnego salonu, który niegdyś pełnił rolę głównej sali restauracyjnej. Podłoga była tu wykonana z misternie ułożonej, drewnianej klepki, a wielkie okna wychodziły na ogród i dalej, na zamglony ocean. W pokoju instalowano właśnie przeszklone, przesuwne drzwi, prowadzące na nowy taras. Nie było tu prawie żadnych mebli, stał tylko niski, pokryty szklaną taflą stół i kilka ogrodowych krzeseł, ustawionych półkolem wokół ogromnego kominka. Na drugim końcu znajdowało się, prawie niewidoczne za wysokimi regałami pełnymi książek, duże biurko i stolik z maszyną do pisania.

- Od czasu jak zacząłem pisywać dla was te wstępy, także moje własne pisanie idzie mi lepiej - powiedział pan Hitchcock. - Odnoszę wrażenie, że działacie na mnie inspirująco. Jestem bardzo ciekaw waszego sprawozdania. Ale najpierw muszę was powierzyć łaskawym względom Dona!

Pan Hitchcock przywołał swego kucharza i w chwilę potem straszliwe śpiewy

umilkły, a w przedpokoju zjawił się uśmiechnięty Azjata. Niewiele wyższy od Jupitera, bardzo szczupły Hoang Van Don wyszczerzył zęby na widok chłopców. Najwyraźniej lubił ich wizyty. Podbiegł ku nim żywo, a potem z przerażoną miną zatrzymał się w miejscu.

- Och, nie mam nic ma lunch! Najpierw musicie coś zjeść! Mogę podać tylko pełnomięsne hot-dogi, świeżo przysłane z wschodniego wybrzeża, które miałem podać panu Hitchcockowi na kolację w potrawce, według przepisu na opakowaniu. Ale mam nie tylko to. Mogę przygotować stuprocentową imitację ponczu Bora-Bora, z dziewięciu soków z esencji zapachowej. A także domowe ciastka, które robi się w dwie minuty bez pieczenia!

- Będziemy czekać z niecierpliwością - westchnął pan Hitchcock, kiedy uśmiechnięty Wietnamczyk znikł w kuchni. - Tęsknię za najprostszymi daniami z najtańszych barów szybkiej obsługi. Ale nie przejmujcie się kłopotami, jakie spotykają mnie przy stole. Co to za zagadka, którą rozwiązaliście ostatnio?

- Daliśmy jej tytuł "Tajemnica Purpurowego Pirata" - powiedział Bob wyciągając z plecaka dużą kopertę, którą następnie wręczył panu Hitchcockowi.

Don zjawił się prawie natychmiast z hot-dogami, doskonale podrobionym, sztucznym ponczem owocowym i przygotowanym w dwie minuty domowym ciastem. Podczas gdy pan Hitchcock pogrążył się w lekturze, chłopcy, nie bacząc na jego przykre doświadczenia kulinarne, zabrali się ochoczo do jedzenia.

- Interesujący przypadek - powiedział pan Hitchcock po przeczytaniu ostatniej kartki. - Surowa próba detektywistycznych zdolności, a także umiejętności spostrzegania i analizowania. Domyślam się, że ten Joshua Evans rzeczywiście okazał się członkiem gangu Karnesa?

- Tak, proszę pana - powiedział Jupiter. - W kartotece w Waszyngtonie odnaleziono odciski jego palców. Kiedy Evans dostał się za kratki, Karnes zrozumiał, że wszystko jest już stracone i wyśpiewał całą prawdę. Jego banda kradła przez wiele lat. A kiedy zgromadzili wreszcie wszystkie te łupy, Evans zwędził je i zniknął.

- I wszyscy są teraz w więzieniu, obciążeni poważnymi zarzutami?

- Jasne, że tak - wykrzyknął Pete. - Sześć wschodnich stanów bije się między sobą o to, któremu przypadnie zaszczyt wytoczenia im pierwszego procesu!

- Sława nie zawsze przynosi korzyści - stwierdził sucho pan Hitchcock. - Jeśli dobrze zrozumiałem, to Karnes wymyślił całą tę akcję nagrywania pirackich opowiastek, żeby odciągnąć stamtąd kapitana Joya i Jeremy'ego?

- Tak - potwierdził Jupiter. - Nie istnieje nic takiego, jak Towarzystwo dla Oddania Sprawiedliwości Korsarzom, Piratom i Przydrożnym Zbójcom.

- Właściwie, to szkoda - westchnął pan Hitchcock. - Brzmi to nawet interesująco! A tych wartowników, którzy pilnowali terenu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, wystawiono po to, aby przed dostaniem się gangu do wieży Evans nie zwiał znowu z całym łupem?

- Oczywiście - powiedział Bob. - A Evans związał kapitana i Jeremy'ego, ponieważ bał się, że mogą odgadnąć prawdę. Usłyszał, jak Jeremy mówił, że niektóre z tych klejnotów wyglądają jak nowe.

- Tyle że Jeremy nie wyciągnął z tego żadnych wniosków - wtrącił Pete. - Nie przyszły mu do głowy żadne podejrzenia!

- Tak, Evans popełnił błąd typowy dla człowieka mającego nieczyste sumienie - stwierdził pan Hitchcock. - I rozpaczliwie szukającego ratunku. On zresztą dokładnie zaplanował sobie wyprowadzenie wszystkich w pole, bez względu na rozwój wypadków.

- Tak, rzeczywiście - potwierdził Jupiter. - My sami podsunęliśmy mu tę myśl naszym opowiadaniem o pirackim skarbie. Kiedy zdał sobie sprawę z tego, że Karnes go odnalazł i że nie uda mu się niepostrzeżenie wymknąć z łupem, postanowił wykorzystać nas wszystkich, szczując jednych przeciwko drugim. Miał dość czasu, aby wypalić nazwisko Williama Evansa na szkatule i umieścić ją w spiżarni. Był przygotowany na różne warianty wydarzeń.

Pan Hitchcock kiwnął z uznaniem głową.

- Trzeba wielkiej inteligencji, aby ocenić całą sytuację i wykorzystać wszystkie okoliczności. Szkoda, że użył swych zdolności wyłącznie w kryminalnych celach.

- Wielką bystrość umysłu okazał też kapitan Joy. Świetnie wykorzystał "Czarnego Sępa" do zatrzymania tego hydroplaniku - powiedział Bob. - No i niespodziewanie został za to sowicie wynagrodzony! Mnóstwo towarzystw ubezpieczeniowych przyznało mu nagrody za odzyskanie takiego łupu! Kapitan Joy chciał się podzielić z nami tymi pieniędzmi, ale powiedzieliśmy mu, żeby je przeznaczył na zrobienie prawdziwego, pirackiego superpokazu.

- Sądząc po waszym opisie, te pokazy bardzo potrzebują czegoś takiego - zgodził się z chłopcami pan Hitchcock.

- Ale kapitan okazał się na tyle świetnym facetem, że wmusił nam też pieniądze na nowy ekwipunek do tropienia śladów - powiedział Pete. - No i przygarnął Czarnobrodego, bezdomnego kota, który został po Evansie. Stwierdził, że taki zwierzak przyda nastroju dawnej pirackiej melinie.

- A co to był za dokument, który widzieliście w rękach Karnesa i jego kompanów? - spytał pan Hitchcock. - Czy była to mapa?

- Tak, ale była to tylko zwyczajna mapa Zatoki Piratów - wyjaśnił Bob. - Karnes nie

dysponował mapą ze szkicem tunelu.

- W waszym sprawozdaniu napisaliście, że tunelu nie można było odnaleźć, jeżeli się nie wiedziało o jego istnieniu. Więc jak Karnes go znalazł?

Jupiter roześmiał się.

- Wiele lat wcześniej sam Evans opowiedział Karnesowi o wieży i tunelu, kiedy szukali miejsca, żeby się ukryć przed policją. Tyle że Karnes nie wiedział dokładnie, gdzie ta wieża stoi, a Evans nie znał położenia tunelu. Ojciec powiedział kiedyś Evansowi, że tunel się zawalił i że nie nadaje się do użytku, toteż Evans doszedł do wniosku, że nie warto go szukać. Kiedy znowu zamieszkał w wieży, mając przy sobie skradzione klejnoty, odnalezienie go zajęło pozostałym członkom gangu cały rok. Przeszukując okolice wieży, Karnes natrafił w hangarze na wejście do tunelu. Razem z Hubertem oczyścił tunel na tyle, aby można było dostać się nim do wieży i tam dalej szukać skradzionego skarbu.

- A co wydarzyło się między Evansem i Karnesem, kiedy zostali zamknięci w tej samej ciemnej spiżarni?

- Evans uświadomił po prostu Karnesowi, że jeśli tamten zadenuncjuje go na policji, żaden z nich nie zobaczy więcej nawet grama tego złota - wyjaśnił Bob. - Karnes nie miał więc problemów z dokonaniem wyboru. Mógł albo wszystko powiedzieć i wszystko stracić, albo milczeć i pozwolić Evansowi, żeby zwiał z całym łupem. Przypuszczam, że miał nadzieję na jakieś ułożenie się z nim później.

- Tak więc okazało się w końcu, że w dawnej pirackiej kryjówce nie ma żadnego pirackiego skarbu - powiedział pan Hitchcock. - Może jest tylko dziedzictwo, pozostawione tam przez morskich rzezimieszków i Purpurowego Pirata.

- Dziedzictwo? Jak mam to rozumieć, sir? - spytał Jupiter.

- Dziedzictwo Purpurowego Pirata, porucznika Williama Evansa, przekazane jego praprawnuczkowi, noszącemu imię Joshua! Dziedzictwo piractwa i innych złodziejskich sprawek! Koniec końców, Joshua Evans okazał się w każdym calu takim samym ancymonkiem jak jego niesławnej pamięci przodek!